ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 11 14. III. 1936 R.

TRAKTAT WERSALSKI ZŁAMANY
WOJSKA NIEMIECKIE WKRACZAJĄ DO KOLONJI





NAGRANIA ZAGRANICZNE

Przeglądając katalogi zagranicznych fabryk płyt, mimowoli budzi się zazdrość i żal, że nas jeszcze nie stać na taką produkcję. A może przyczyny należy szukać gdzieindziej? — poprostu w dziedzinie kulturalnej. Zdaje mi się, że mimo wysiłku jednostek wymagania artystyczne ogółu są bardzo ograniczone, nie doroślismy jeszcze do odpowiedniego poziomu.

W Paryżu na płytach Gramophone (DB. 4990) nasza rodaczka Wanda Landowska nagrała szereg utworów Rameau (La Poule, la Joyeuse, les Sauvages, les Tricotets, Menuet majeur i Menuet mineur). Cały czar mistrzowskiego dotknięcia słynnej klawesynistki, jej interpretacja pełna wczucia się w ducha epoki wiernie jest oddana na płycie gramofonowej, bez żadnego zniekształcenia dźwięku. Pozatem drobne te minjaturki w wykonaniu Landowskiej nabierają znaczenia potężnych dzieł.

Nawet w dziedzinie tak abstrakcyjnej, jak muzyka, Niemcy odciskają piętno swych poglądów. III-a Rzesza między innemi hasłami głosi powrót do natury, supremację ziemi i krwi, a z drugiej strony dąży do wykorzenienia korupcji obyczajów. Żywym przykładem tego są dwie piosenki, naśpiewane przez Gretę Keller (Ultraphone 1572). W nich poprzez erotyzm przebija pochwała niemieckiej mistyki, ślepego uwielbienia natury i rasy. Rytm i melodja świetnie odtwarzają owe idee III-ej Rzeszy — natomiast słowa są głupie i banalne, mimo wszelkich starań Grety Keller, która przez odpowiednią interpretację chce im nadać specjalne znaczenie.

Na Pathé mamy bardzo ciekawe nagranie Ray Ventury, który ciągle dąży naprzód, szukając coraz to nowych dróg tak w interpretacji, jak w efektach muzycznych. To też 2 piosenki „La charmante petite flute" i „Le général dort debout" są prawdziwemi cackami finezji i subtelności.

Bardzo też miło śpiewa Frehel na Columbji (DF. 1850), zwierzając się ze swych przeżyć w rangu „Sous les ponts" i w walcu „Où sont mes amants".

PŁYTY KRAJOWE

Sztukmistrz chóru Dana — Adam Wysocki, niezrównany odtwórca angielskich slow - fox'ów i foxów o miłym, doskonale wygimnastykowanym głosie, naśpiewał kilka bardzo dobrych piosenek. Przedewszystkiem więc 2 foxtroty z akompanjamentem orkiestry Gerta: przemiła piosenka „Gdy ktoś swą gwiazdę ma" z sentymentalnemi słowami, oraz „Melodje wielkiego miasta" — oba utwory z filmu tejże nazwy.

Bardzo dobry głosowo i instrumentalnie jest fox „W siódmem niebie", zupełnie na poziomie „wzorów" angielskich. Słowa Friedwalda trochę naiwne, ale rozbrajająco przyjemne, doskonale są interpretowane przez Wysockiego. Na odwrocie „Czy to jest miłość", melodja pełna wykrzykników i znaków zapytania zarówno w muzyce, jak i słowach.

Świetny w barwie o tajemniczym wstępie jest slow-fox M. Jaworskiego „Wszystko jedno" (Dobry tekst Schlechtera) z bardzo urozmaiconym akompanjamentem orkiestry Gerta. Zwłaszcza piękne są głosy saxofonów, rzadko u nas używanych.

Niebardzo rozumiem, dlaczego na odwrocie płyty piosenkę z filmu „Katarzynka" zamiast Wysockiego śpiewa nieznany zupełnie Olszewski. Timbre głosu ma nawet zupełnie sympatyczny i niezłą dykcję, ale daleko mu do klasy Wysockiego. Część orkiestrowa fenomenalnie rytmiczna i gdyby nie post polecałabym tę płytę jako wyjątkowo nadającą się do tańca.

VUILLERMOZ O „MARTINOT"

Znany krytyk francuski Emile Vuillermoz na łamach tygodnika „Candide" kreśli bardzo ciekawe uwagi o wpływie najnowszych instrumentów muzycznych na twórczość kompozytorów współczesnych. Myśli te nasunęły się krytykowi na przedstawieniu „La Folle du ciel" Lenormand'a z muzyką Darius Milhaud.

Dyrekcja teatru „des Mathurins", nie rozporządzając wielkiemi środkami materjalnemi, zwróciła się do Milhaud z prośbą, aby napisał ilustrację muzyczną nie na orkiestrę, lecz tylko na dwa instrumenty: harfę i „instrument à ondes" t. zw. „martinot" (rodzaj wibrafonu, skonstruowany przez Martinot). Pomysł okazał się nadzwyczaj szczęśliwy. Aksamitny, płynny głos martinot i dyskretne dźwięki szarpanych strun harfy stworzyły doskonały zespół, gdzie jak w najwykwintniejszem menu odpowiednio zostały wybrane „ciała płynne i stałe, gładkie i chropowate, miękkie i chrapliwe".

Dzięki tym możliwościom Milhaud mógł dorównać górnolotnej i skrzydlatej prozie Lenormand. Od pierwszego taktu widać, że kompozytor został całkowicie porwany i opanowany przez nieprzezwyciężoną logikę tego nowego instrumentu, któremu powierzał swe myśli i uczucia.

I to daje nam pewność, że na orkiestrę Milhaud nie stworzyłby dzieła tej wartości, nie mógłby sięgnąć tak głęboko do swego natchnienia — retoryka polifonji klasycznej krępowałaby i wykrzywiłaby jego wyznania.

„W swych przypuszczeniach" — pisze Vuillermoz — „posunę się dalej. Posługując się orkiestrą normalną, Darius Milhaud nie ośmieliłby się uzewnętrznić tak wiernie swej wrażliwej natury. Techniczna skromność wstrzymywałaby go od powierzenia skrzypcom, lub wiolonczeli, szczerego wylewu dziwnego uczucia opuszczenia, które ten nowy instrument bez żadnego trudu wyciągnął z głębi jego serca. W tej muzyce przejawia się nam Milhaud nowy — niespokojny, czuły, łaskawy, rzucający okrzyki cierpienia, pełen idealizmu z wspaniałym gestem siewcy idei, sięgającego aż do gwiazd. Ten instrument Martinot odkrył nam nowe strony temperamentu Darius'a Milhaud, których moglibyśmy nigdy nie znać".

Po tym przykładzie Vuillermoz omawia dokładniej stosowanie nowych instrumentów, zakończając temi słowy: „Jeszcze jeden dowód więcej, że nie zawsze czynność stwarza narzędzie, lecz często nowe narzędzie może wywołać nieoczekiwaną czynność. Tak bywa i z natchnieniem. Chopin, mając do dyspozycji klawikord zamiast fortepianu, nie napisałby nigdy Nokturnów i nie byłby Chopinem".

H.

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXI. Nr. 11 — 14. III. 1936



Prezydent Roosevelt otrzymał dyplom honorowego doktora praw Uniwersytetu w Filadelfji.

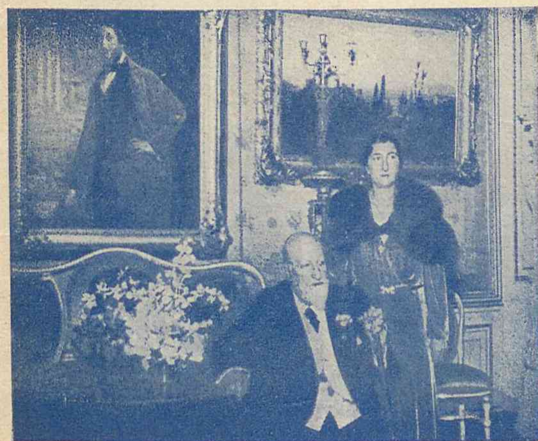
KRÓLOWIE I PREZYDENCI NA WIDOWNI

Król Danji, Chrystjan, bawi w Cannes, w towarzystwie oswojonego lamparta.



Król włoski i Mussolini wzięli udział w dziękczynnej mszy polowej na placu Weneckim w Rzymie.





Ex-król bułgarski, Ferdynand, obchodził 75-tą rocznicę urodzin.

L. CHRZANOWSKI.

PRÓBA GENERALNA

Traktat Wersalski złamany!

Cóż nam mówi artykuł 44-y traktatu Wersalskiego?

„Pogwałcenie przez Niemcy w jakikolwiek sposób przepisów art. 42 i 43 uważane będzie jako dokonanie aktu nieprzyjacielskiego w stosunku do mocarstw, które położyły podpisy swe na traktacie niniejszym, oraz jako czyn, zmierzający do zakłócenia pokoju świata".

Tak mówi traktat Wersalski. Sformułowanie jasne. Gromadzenie sił zbrojnych w pasie zdemilitaryzowanym, to „dokonanie aktu nieprzyjacielskiego".

Ten akt został dokonany.

Dokonany wprawdzie przy akompanjamencie słów o brzmieniu pokojowem, ale najpiękniejsza mowa pokojowa nie może zasłonić rzeczywistości, wyrażającej się rozradowanemi obliczami wkraczających do Kolonji bataljonów niemieckich, rytmem donośnie wybijanego marsza kroków żołnierskich.

Znowu dwa traktaty zostały przedarte.

Dla nas nie jest to niespodzianką. Kto bacznie patrzył na konsekwentny rozwój polityki niemieckiej, na wszystkie kroki przygotowawcze, na stałe gwałcenie zobowiązań traktatowych, ten widział, ostrzegał, przepowiadał. Bo to, co się stało — musiało się stać wobec inercji i nieśmiałych papierowych sprzeciwów dyplomacji, która tylko na papierową reakcję wobec zbrojeń niemieckich umiała się zdobyć.

Po jednej stronie od szeregu lat mamy koncypjentów papierowych zobowiązań, dyplomatów, którzy *dla świętego spokoju zaprzepaścili gwarancje pokoju.* Dyplomatów, co wszystko wiedzą, wszystko potrafią, co z procedury zbudowali ołtarz, co w kadzidlanych dymach samouwielbienia i chwalstwa swych sukcesów — woleli nie dostrzegać rzeczywistości.

Z drugiej zaś strony stał naród twardy, zawzięty, zmilitaryzowany — kierowany twardą ręką wodza. Wodza, który wiedział, czego chce, dokąd zmierza i który od lat zdał już sobie sprawę, że go się boją papierkowi twórcy paragrafów.

Więc darł ich traktaty. Darł paragraf po paragrafie. Dziś rozdarł te, które były podstawowemi paragrafami bezpieczeństwa na zachodzie.

Niemcy zawsze darły traktaty, gdy czuły się gotowe i dość mocne, aby, licząc na bezwład innych, dokonać czynu dla swej potęgi potrzebnego. Tak w 1914 rozdarto świstek papieru, gwarantujący bezpieczeństwo Belgji. Tak rozdarto sojusz z Ligą Narodów — występując z niej i zbrojąc się nagwałt. Tak rok temu rozdarto paragraf, zabraniający Rzeszy utrzymywania stałej armji z poboru. Tak obecnie Niemcy zerwały Traktat Wersalski, wymówiły traktat w Locarno i wkroczyły zbrojnie do strefy zdemilitaryzowanej.

Wojska niemieckie wkroczyły do Nadrenji.

Dość spojrzeć na fotografje, ilustrujące to wydarzenie. Na radosny kłus kawalerji niemieckiej, jadącej po moście. Na drogi i szosy Nadrenji — zapełnione maszerującemi oddziałami, na ich rozjaśnione, bojowe oblicza, aby stwierdzić, że ci ludzie wiedzą i że są świadomi, *iż nowy etap niemieckiej potęgi został osiągnięty.*

Tak jest. Nowy etap.

Etap ten — to próba generalna niemieckiej siły i... bezradności całej Europy.

Bo trzeba sobie jasno powiedzieć: jeśli dziś Europa nie zdobędzie się na czyn męski, śmiały, politycznie dojrzały — to następstwem tej generalnej próby będzie nietylko Anschluss, nietylko rewizja terytorjalna traktatów, *ale i wojna.* Tu dwuch wyjść być nie może. Albo generalna próba wykaże supremację Niemiec, albo okaże się, że są jeszcze środki, aby tę lawinę zahamować.

Dziś, gdyby istniał jakiś pokojowy trybunał, to przed ten najwyższy sąd należałoby postawić całą dyplomację europejską, która swą bezczynnością doprowadziła do tak bezceremonjalnego obchodzenia się z traktatami i gwarancjami pokoju.

Ale dyplomaci pod sąd nie pójdą! Im wolno mylić się, im wolno ufać. — Oni, mając za sobą „tajemnicę dyplomatyczną", są bezkarni. Tylko z mgieł tajemnic dyplomatycznych wyłaniająca się rzeczywistość zbyt jaskrawo, zbyt boleśnie bije teraz w oczy — a za omyłki dyplomatyczne płacą niestety społeczeństwa, masy, narody i Państwa.

Parę dni temu lewicowy ultra skłonny do porozumień z Niemcami francuski dziennikarz Bertrand de Jouvenel ogłosił wywiad z kanclerzem Hitlerem. De Jouvenel — stał się tubą intencji pokojowych kanclerza Niemiec, intencji zbliżenia się Niemiec do Francji.

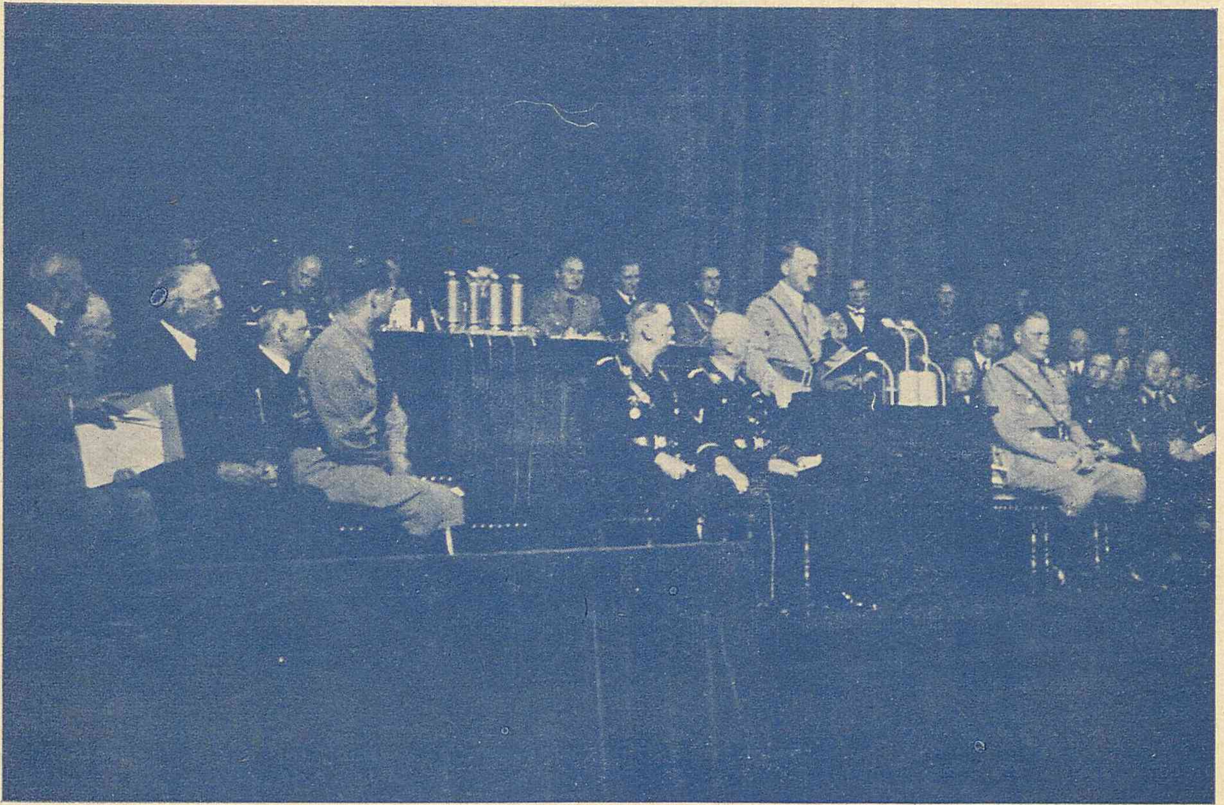
Jakże szybko to zbliżenie nastąpiło! Słusznie ironizuje „Petit - Bleu" paryski. *„Niemcy zbliżyły się istotnie—ale do Alzacji i Lotaryngji".* Niemcy zbliżyły się, podeszły do Renu, do tej jedynej gwarancji strategicznej bezpieczeństwa francuskiego — według opinji marszałka Focha.

W obliczu czynu Niemiec — Europa, jeśli nie chce dopuścić do wojny, musi zdobyć się na czyn solidarnej obrony pokoju. Nietylko mocarstwa, ale wszystkie państwa muszą w zdecydowanem, silnem, solidarnem wystąpieniu wykazać swą siłę i wolę niedopuszczenia do maltretowania traktatów.

Dziś niema miejsca na neutralne obserwowanie.

Wola narodów musi twardo powiedzieć dyplomacji europejskiej: „Dość prawniczej nomenklatury i proceduralnych załgiwań. Chcemy pokoju i solidarnej gwarancji, iż nikt nie poważy się go deptać, licząc na bezwład całej Europy"!

Słusznie prasa francuska woła o sankcje, bo te sankcje mogą jeszcze wykazać, że Europa nie pozwala igrać z traktatami — i zapobiec katastrofie.



Przemówienie Hitlera na posiedzeniu Reichstagu.

PO ZŁAMANIU TRAKTATU WERSALSKIEGO

Wieczorem tegoż dnia, po wkroczeniu wojsk niemieckich do Nadrenji, odbyły się na cześć Hitlera defilady z pochodniami.



WITOLD GOMBROWICZ

Grube nieporozumienie

Artykuł mój „O stylu Zofji Nałkowskiej“ wywołał dość, rzeczywiście, grube nieporozumienie. P. Wacław Grubiński uznał ni mniej, ni więcej, jeno, że mówiąc o stylu życiowym autora mam na myśli jego ciało; a p. Norblin-Chrzanowska uznała, że idzie mi li-tylko o najlepszy sposób zrobienia karjery literackiej. Zaiste, musiałem wyrazić się z dziecięcą wprost nieudolnoscią, jeżeli tak opacznie zostałem pojęty. Nie, takich niedorzeczności nigdy nie poważyłbym się napisać.

Wydaje mi się, że nieporozumienie powstało na gruncie mego za mało wysublimowanego wysłowienia. Gdybym mianowicie, zamiast gminnych wyrażeń „fason“, „sposób bycia“, napisał, że „pisarz sam się stwarza“, „pisarz organizuje się wewnętrznie swoją sztuką“, „pisarz dopracowuje się w ciężkim trudzie własnego stylu duchowego“ — sądzę, że wszystko byłoby w porządku. Jedyna zaś nowość w mych zapatrywaniach polegała na tem, iż pozwoliłem sobie pojęciem stylu objąć nietylko same najwyższe wzloty i wzniesienia ducha, lecz także dziedziny bardziej pospolite. W czem — zdaniem własnem — mam słuszność. Albowiem, proszę państwa, cóż to jest — artysta? W sensie krytyki estetycznej artysta, to człowiek, który produkuje piękno.

Lecz w sensie krytyki, którą chętnie nazwałbym „życiową“, artysta to człowiek, który tworzy, aby się wybić, aby się wywyższyć, aby się wykazać, aby się usprawiedliwić, aby się upiększyć i aby się wysublimować, aby pozyskać sławę, miłość, życzliwość i wartość społeczną, aby zrobić karjerę i aby — co najważniejsze — zmitologizować się w umysłach innych osób w takiej to czy innej postaci. W postaci, przypuśćmy, błyskotliwego ironisty, albo demonicznego wieszcza, albo bojownika sprawy uciśnionych. I większość artystów nietylko stylizuje książki, lecz również organizuje, przyrządza, stylizuje siebie dla celów owej walki o byt literackiej. Ażeby narzucić innym swoją formę, aby zmusić do uznania tego właśnie gatunku człowieczeństwa. Jak zresztą każdy z nas przyrządza się na użytek publiczny w biurze, lub też w salonie na fajfie. Z tą różnicą, że zwykły człowiek robi to prywatnie, na boczku, a pisarz — narzuca się z tem publiczności.

A przeto możemy rozkoszować się nietylko dziełem danego artysty, nietylko jego bohaterami, lecz i nim samym, jako bohaterem, nietylko formą jego poematów, lecz i formą jego osobowości i nietylko historjami, jakie wymyśla, lecz i jego własną historją. Wszak znamy go doskonale z jego wynurzeń i wywnętrzeń, z jego perypetji, z anegdoty. Możemy obserwować, jak stara się uzyskać społeczną wartość i jak mu się to udaje, albo nie udaje i jak forma, którą sobie stworzył, szczęśliwa lub nieszczęśliwa, odnosi sukces albo dostaje po nosie. I wreszcie trzeba przyznać, że społeczeństwo, śledząc walkę o byt pisarza, naprzykład w polemice, bawi się i uczy nieskończenie lepiej, niż na tuzinkowym spektaklu w teatrze. Gdyż tu przynajmniej nie jesteśmy nabierani, tu mamy prawdziwe starcie, podstępne chwyty, gniew, urażoną ambicję, szkodę moralną i materjalną, profesjonalną zawiść i podrażnioną godność, a tam na scenie — te same uczucia wymyślone na trójkę minus z dodatkiem stylu literackiego. Ba! Sztuka nie jest jedynie fabrykacją piękna na papierze za pomocą t. zw. „talentu“, sztuka to człowiek, który się organizuje. Jakże często drobne napozór skazy na osobie kładą największe talenty. Artysta talentem, rzemiosłem i bohaterami swymi sięgać może Olimpijskich szczytów, a nas jednak denerwuje zlekka, ponieważ styl jego osobowości jest biologicznie niedobry, lub fatalny towarzysko. I zdarza się nieraz nader świetny stylista językowy, a nader marny stylista własnego życiowego fasonu (przyczem „fason“ nie znaczy koniecznie — fason marynarki) tudzież własnej duszy.

Czytając interesujący artykuł p. Norblin-Chrzanowskiej, odnosi się wrażenie, że sztuka dzieje się wyłącznie w książkach. Czyż jednak p. Chrzanowska nie zgodzi się ze mną, gdy powiem, że częstokroć małe, przypadkowe i życiowe gaffy dają nam silniejszą emocję artystyczną, niż wielkie i wzniosłe dramaty? Przytoczę chociażby, tytułem przykładu, słynną już dzisiaj kraszuarkę. Rzecz błaha napozór: jeden ze znakomitszych pisarzy, pragnąc przeforsować właściwą swej indywidualności syntezę inteligencji i dystynkcji, zamiast napisać — spluwaczka, użył paryskiego zwrotu „kraszuarka“. I cóż? Bez przesady mówiąc kraszuarka owa w artystycznym efekcie okazała się dużo potężniejsza od sztuki tegoż autora, podjudziła ona przeciwko niemu szerokie sfery kulturalne i napluto mu do tej jego kraszuarki w sposób nader szpetny i haniebny. O sztuce niewiele się mówi, o kraszuarce dotąd się rozprawia. Fałszywa dystynkcja rozzłościła społeczeństwo. Kraszuarka zmitologizowała się, jako nietakt. Tak to na drobnych błędach i potknięciach w stylu społeczeństwo uczy się, jaka forma jest Bogu niemiła i ludziom obmierzła.

Ordynarna, powiecie, filozofja. Przepraszam. Cóż ja jestem winien, że życie życiem jest i kwita. Rozumiem doskonale, że właściwie powinniśmy reagować pięknie na piękno, z pominięciem wszelkich stron brzydkich i niesmacznych, lecz nie wszystko jeszcze na tym świecie jest tak, jak być powinno. Zapewne, byłoby ideałem, gdyby pisarze w nagrodę za trudy mogli zawsze zajmować dogodne stanowisko wieszcza, kaznodziei, pouczającego lud z wyżyn talentu. Sam marzyłbym o tem, ponieważ także napisałem książkę. Lecz nieubłagane życie ostro stwierdza, że częściej niestety pisarz uczy, bawi i przeraża nie tem, co mówi, ale tem, jaki jest. I że nie jest tym, który uczy, ale tym, na którym ludzie się uczą. — A może zresztą tak jest lepiej dla pisarzy? Bo ostatecznie postacie sceniczne lub powieściowe Iksińskiego, który nie jest autorem pierwszorzędnym, ale drugorzędnym (więcej jest drugorzędnych), nie są nazbyt przekonywujące. Krytyka ciągle coś mu tam wytyka. Natomiast postać samego Iksińskiego zawsze jest przekonywująca, bo jest żywa, jest realna. Mało jest autorów, którzy potrafią dać naprawdę objektywną wartość, ale każdy daje — w błędach czy w zaletach — siebie.

I taki jest do tych spraw stosunek publiczności. Ale nasze życie kulturalne tak dalece odbiegło od rzeczywistości, iż czasem wydaje się, że życie to, jak mówią w modnej śpiewce, jest chimerą. Krytyka nie bada realnych emocji artystycznych, lecz duka nad abstrakcyjną estetyką. Pojawia się utwór piekielnie nudny i o którym wszyscy pocichu mówią, że nudny, jak piekło, lecz w prasie wypisuje się o nim dyssertacje, ponieważ odpowiada jakimś tam kanonom. Życie rozpada się na dwie osobne części, jedną górną, fachową, wyspecjalizowaną i wysublimowaną, gdzie się ględzi, a drugą, dolną, gminną, niewysublimowaną, gdzie się ziewa. Ten sam stosunek przyjmuje się do twórczości Szekspira i do Kowalskiego, albowiem i jedno i drugie jest „Sztuką“. Zatraca się poczucie tych najważniejszych, drobnych realjów życiowych. Propaguje się w rozważaniach krytycznych specyficzny, wywindowany, podciągany gatunek stylu, w zakresie którego najprostsze prawdy są nie do powiedzenia, gdyż wypadają zbyt gminnie, zbyt „płytko“, zbyt „niekulturalnie“.

Taki jest, według mnie, ponury obraz życia naszego. Jeżeli się mylę — ha, to jestem głupiec. Nie lękam się głupoty, byle była własna, i wolę ją, niż mąd-

rość nauczoną w szkółce kulturalnej. wolę żywego, konkretnego i autentycznego głupca, niż udrapowanego, sztucznego i przyrządzonego mędrka z całym aparatem grymasów, któremi usiłuje, biedak, zapewnić sobie „wyższość" (nie wątpię, że ten passus zostanie zironizowany, ach, te chwyty mędrków). A wogóle łaknę odrobiny rzeczywistości w kulturze. Panie i panowie, nie bądźmy zbyt estetyczni, bądźmy raczej szczerzy — prawdziwe piękno życia niewiele ma wspólnego z tanią estetyką. Nie znaczy to oczywiście, aby miała zginąć poważna krytyka czysto - artystyczna i abyśmy mieli grzebać w prywatnej domowej egzystencji autorów. Ale ten, kto nieproszony występuje na forum publicznem, siłą rzeczy staje się objektem zainteresowania. Gdyż człowieka interesuje człowiek.

Z. NORBLIN-CHRZANOWSKA

Zakończenie dyskusji

Dość obszerna replika p. Gombrowicza, którą „Świat" lojalnie zamieszcza w całości, niczego nie wyjaśniła i stanowi tylko potwierdzenie moich wniosków, wyciągniętych z pierwszego jego artykułu. Stoimy na dwu biegunach — i tak już, zdaje się, zostanie. Dla p. Gombrowicza podglądanie twórcy jest ciekawsze, niż obcowanie z jego dziełem. Dla mnie przeciwnie. Powody dostatecznie wyłuszczyłam w poprzednim artykule (w numerze 9-ym "Świata" r. b.).

P. Gombrowicz wprowadza w swych dzisiejszych wywodach dość nowe pojęcia, jeśli idzie o sprawy sztuki. (A o tych, zdaje się, mówimy?). Pisze: *„W sensie krytyki estetycznej artysta, to człowiek, który produkuje piękno. Lecz w sensie krytyki, którą chętnie nazwałbym „życiową" — artysta to człowiek, który* etc. etc."

O to tylko idzie, że, w mojem pojęciu do *dzieła sztuki* człowiek świadomy zbliża się z kryterjami *estetycznemi*. Pan Gombrowicz uważa, że odpowiedniejsze tu są kryterja utylitarne. Dlaczego? Dlatego, że *„większość artystów organizuje, przyrządza, stylizuje siebie dla celów owej walki o byt literackiej"*.

P. Gombrowicz nie bierze pod uwagę okropnie wyświechtanej prawdy, że życie jest krótkie, a sztuka — wieczna. (Nie obawiajmy się czasem słów, brzmiących patetycznie, jeżeli wyrażają prawdę).

Człowiek umiera — i tem samem się kończy. Dzieło jego — jeżeli ma wartość — trwa.

Prus był pisarzem wielkiej miary—i dzieło jego rośnie z każdym rokiem. Jako „styl życiowy" — był sobie niepozornym szarym człowiekiem.

Oskar Wilde był — „lordem paradoksem". Trudno o „styl życiowy" bardziej wystudjowany, efektowny, powiedzmy nawet, w swoim rodzaju — doskonały. A co zostało z jego dzieł? Każde wznowienie dowodzi coraz wymowniej, że płowieją one w tempie szalonem, a słynne i tak bardzo 40 lat temu admirowane „paradoksy" wydają nam się dzisiaj stekiem banalnych bredni.

Myślę, że tak po gospodarsku, po plotkarsku, można sobie traktować właśnie autorów... „kraszuarek", jako że od nich nie oczekujemy innych, bardziej istotnych emocji. Pretensjonalność i poza zdradzają zawsze człowieka na miarę krawca. Jeżeli ten człowiek przypadkiem jest artystą — to i sztuka jego nie będzie na miarę Fidjasza. To nie *„drobne napozór skazy na osobie kładą największe talenty"*. Tak źle jeszcze nie jest. Poprostu pseudo-wielkości „kładą się" same, jako „twórcy".

*

Dlaczego p. Gombrowicz sądzi, że publiczność interesuje się właśnie zakulisowemi sprawami i sprawkami autora, a nie jego dziełem? Trudno na ten temat urządzać plebiscyt — wiemy zresztą, co warte są plebiscyty. Ale mam raczej wrażenie, że publiczność, nie mając przeważnie możliwości przyglądania się życiu autora, interesuje się *naprawdę* przedewszystkiem jego dziełami. Tylko bardzo malutki, próżniaczy klan kawiarniany ma czas na to, aby sobie wzajemnie zaglądać w detale egzystencji.

Ale, co najcharakterystyczniejsze, ten właśnie klan dużo o autorach rozprawia, ale ich przeważnie — nie czyta...

Wiosna w Tatrach

Masowy zjazd do Zakopanego pod hasłem „Wiosna w Tatrach" trwać będzie od dnia 6 marca do 6 kwietnia. Posiadacze kart uczestnictwa, które nabyć można we wszystkich placówkach Orbisu, będą mogli kupić bilet ze zniżką 33% na przejazd od stacji macierzystej do Zakopanego, za okazaniem jakiegokolwiek dowodu tożsamości.

Powrót do stacji macierzystej jest bezpłatny, przyczem konieczne jest zachowanie przez podróżnego biletu, wydanego na przejazd pierwotny do Zakopanego. Bilet ten wraz z kartą uczestnictwa należy przestemplować w kasie biletowej Orbisu przed rozpoczęciem podróży powrotnej. Przerwy w podróży nie są dozwolone, a przejazd powrotny może nastąpić najpóźniej 10-go dnia od daty wyjazdu pierwotnego.

Karty uczestnictwa upoważniają także do 33% zniżki na przejazd kolejką linową Zakopane—Kasprowy, 50% zniżki biletów wstępu na XVII Międzynarodowe Narciarskie Mistrzostwa Polski, 40% zniżki klimatycznej i do bezpłatnego udziału w wycieczce, zorganizowanej przez Ligę Popierania Turystyki, przy współpracy Polskiego Związku Narciarskiego. Cena karty uczestnictwa wynosi zł. 4.50.

RODZINA MITSUI

Najbogatszą rodziną w Japonji — jest rodzina Mitsui, posiadająca 40-ą część całego majątku narodowego. Mitsui — są właścicielami plantacji herbaty w Japonji, Mandżurji, Chinach, na Korei i nawet w Abisynji.

Rodzina ta posiada kopalnie węgla i złota, lasy, fabryki tytoniu, włókiennicze i chemiczne. Według ostatnich statystyk opublikowanych w Tokio — stan posiadania rodziny Mitsui wynosi przeszło 15 miljardów franków.

Nic dziwnego, że ta właśnie rodzina jest jednym z filarów japońskiej propagandy na korzyść gwałtownej ekspansji ekonomicznej i nacjonalistycznej.

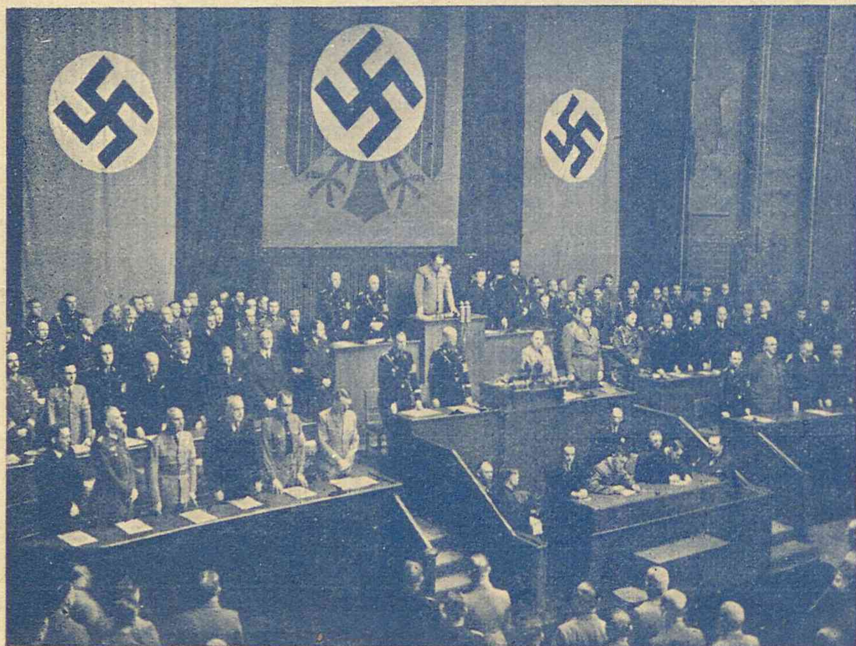
ZŁAMANIE TRAKTATU WERSALSKIEGO



Dnia 7 marca 1936 roku Niemcy oficjalnie złamały Traktat Wersalski, wkraczając ze swą armją w zdemilitaryzowaną strefę nadreńską. Przed wkroczeniem Hitler wygłosił w Reichstagu płomienną mowę. Zdjęcie powyższe przedstawia Hitlera, wychodzącego po wygłoszeniu mowy, i przyjmowanego owacyjnie przez zgromadzone tłumy.



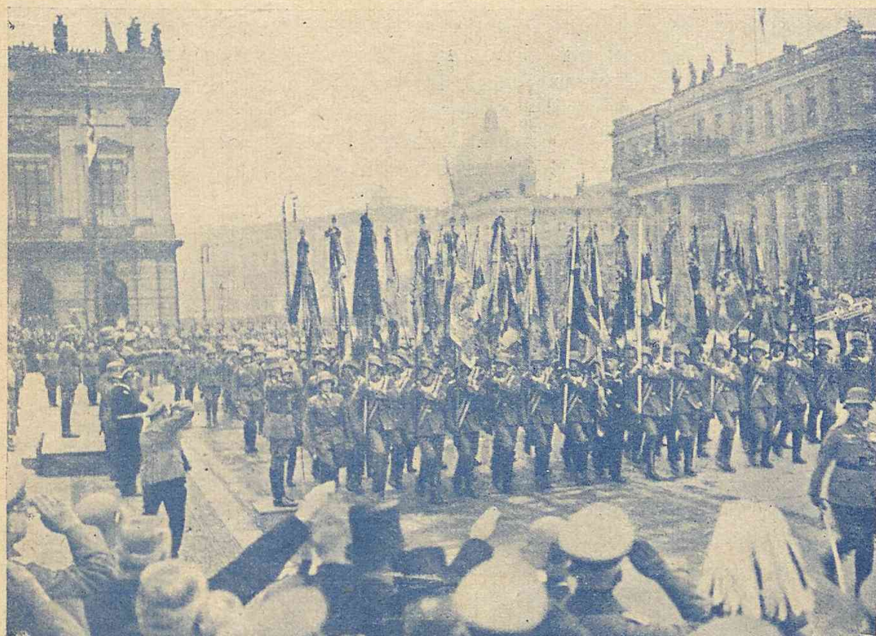
Wkroczenie armji niemieckiej do Kolonji. Dowódca wkraczających oddziałów składa raport wodzowi VI-ej armji, generałowi von Kluge. Na prawo, roześmiany, burmistrz m. Kolonji, dr. Riesen (z łańcuchem burmistrzowskim na szyi).



Historyczne posiedzenie Reichstagu, na którem przemawiał Hitler, otwiera generał Goering. (Na wzniesieniu, we środku). W ławach ministerjalnych stoją w pierwszym rzędzie od prawej: Hitler, Hess, von Neurath, Frick, von Blomberg, von Schwerin-Krosigk. W drugim rzędzie stoją: Schacht, Seldte, Gürtner, von Eltz - Rübenach, Darré, Goebbels.

Przed posiedzeniem Reichstagu kanclerz Hitler dokonał przeglądu gwardji.





Rewja starych sztandarów przed Hitlerem w dniu wkroczenia wojsk niemieckich do strefy nadreńskiej.

Po wygłoszeniu swej mowy w Reichstagu Hitler złożył wieniec na grobie bohaterów. Towarzyszyli mu marszałek von Mackensen, minister wojny von Blomberg, wódz lotnictwa gen. Goering, wódz sił lądowych gen. v. Fritsch, wódz marynarki admirał v. Raeder.



A JA SOBIE STOJĘ W KOLE...

Przemysł wojenny procentuje.

Pisząc o wzmagającym się wyścigu zbrojeń, lewicowa francuska „Marianne" notuje: „W Niemczech przygotowanie materjalne i moralne jest intensywne. Cyfry są zamaskowane, mimo to ostatnie rewelacje wykazały, jak szybko postępuje techniczne dozbrojenie armji. Przemysł wojenny pracuje całą parą. Podczas, gdy kryzys dopieka wielu gałęziom przemysłu, dochody Kruppa wzrosły w roku 1935 o 31% w stosunku do roku 1934-go — wyrażają się one sumą 10,340.000 marek".

W roku 1934 — 6,700.000.

Od siebie możemy dodać, że ilość robotników zatrudnionych u Kruppa wzrosła w 1934 r. o 15.000 i wynosi obecnie tylko... 90.000 ludzi!

W przemyśle hutniczym produkcja osiągnęła cyfry — rekordowe. W raporcie komitetu administracyjnego czytamy:

„Po szeregu lat zastoju w zamówieniach wojennych, rozpoczęliśmy nanowo intensywnie pracować dla armji".

Tu już mamy wyznanie bez maski.

Ale co najważniejsze, to, że zrealizowane dochody są inwestowane w rozbudowę przedsiębiorstw, a czyni się to w przewidywaniu, że prędzej czy później konflikt wojenny musi nastąpić.

* * *

W Sowietach na zbrojenia wydano w roku 1934 5 miljardów rubli, w 1935 suma ta wzrosła do 8 miljardów 200 miljonów. Na rok 1936 program obrony narodowej przewiduje 14 miljardów 800 miljonów.

W Japonji wydatki wojskowe stanowią 50% całego budżetu.

„Zachęta" do oszczędności.

Z ust ministrów, wiceministrów, odpowiedzialnych, miarodajnych osób różnych ministerstw słyszymy stale nawoływanie, by część pracy państwowej, społecznej ludność brała na swe barki, by odciążała rząd.

Bardzo słusznie i bardzo pedagogicznie. Więcej — często nawet bardzo dla państwa pożytecznie. Ale często „góra" swoje, a „dół" swoje.

Często „procedura" biurokratyczna może zatruć każdą inicjatywę. Oto, co nam donoszą z dalekiego Wołynia: „W roku 1927 włościanie naszej ubogiej wsi, leżącej wśród moczarów, postanowili założyć kasę „Stefczyka". Zebrano tylko 70 złotych. Kwotę tę polecono im odesłać do sądu okręgowego w Łucku. Te pieniądze do tej pory leżały tam i leżą. W grudniu 1935 roku nadeszła decyzja Ministerstwa Skarbu, że ponieważ kasa do tej pory jest nieczynna, więc trzeba ją zlikwidować i na likwidację trzeba przesłać do Ministerstwa 60 złotych. Niedawno zaś nadeszło z sądu z Łucka oznajmienie, że tę kasę trzeba wykreślić z rejestru kas, na co trzeba wydać 15 zł., gdyż inaczej ta suma będzie ściągnięta w drodze przymusowej".

Coś tu jest nie w porządku.

Inicjatywa społeczna nie dała rezultatu, czy zabrakło energicznego organizatora, czy warunki w terenie były nieodpowiednie, dość że kasa nie zorganizowała się. Ale tej dalszej procedury umysł przeciętnego obywatela nie może zrozumieć. A ci ubodzy wołyniacy, którzy za to, że zebrali 70 złotych, muszą 75 zł. wydać na manipulację likwidacji i w dodatku jeszcze pod groźą egzekucji, nietylko tego nie zrozumieją, ale niewątpliwie żal, urazę i niewiarę do sprawności urzędniczo - państwowej mieć będą.

Zapewne jest tu wszystko w zgodzie z przepisami. Ale przepisy są martwe. I w takich wypadkach musi być ktoś, co martwe przepisy pogodzi z życiową logiką. Bez tego nonsensy będą kwitły i mnożyły się.

Introligatorzy dla analfabetów.

Zakładanie szkół dla młodzieży wiejskiej jest rzeczą pożyteczną i szlachetną. Na walnem zebraniu „Koła Polskiej Macierzy Szkolnej" w Zabłociu postanowiono właśnie taką szkołę dla dzieci i młodzieży założyć. Ale jaką? Koszykarską — nie. Stolarską, ciesielską, szewską, ogrodniczą? — nie. No to napewno krawiecką — też nie. Postanowiono założyć szkołę introligatorską!

Polska Akademja Kultury — winna tam przez umyślnego Wawrzyńca — swój wawrzyn posłać. Czy to nie dowód jak kult książki przenika, aż het do odległych osad i wioseczek! Ho, ho, Zabłocie — to nie „Naprawa" Kurka od „Wody Wyżej"!

Ale... jest tylko małe „ale" — w Zabłociu wśród mieszkańców jest aż 95 proc. analfabetów! Cóż więc będzie robił ten wykształcony pluton introligatorski wśród analfabetów na bezksiążkowiu? Poco ich uczyć tego, czego na miejscu nie spożytkują, a trudno przypuścić aby zabłoccy introligatorzy mogli emigrować do stolic wojewódzkich czy innych, by oprawiać nam z radością i korzyścią dla siebie książki!

Tej decyzji szkoły introligatorskiej w Zabłociu nie ocali nawet fakt, że jeden ze stróżów nocnych w tartaku miejscowym umie oprawiać książki. Bo jeśli profesor-introligator będzie uczył w dzień — to w nocy będzie spał. A jeśli będzie uczył w nocy — to kiedy będą spały dzieci i kto w nocy będzie pilnował?

Poświęciliśmy tej pozornie drobnej sprawie wiele miejsca, bo jest ona typowa. Często głód inicjatywy nie może znaleźć sobie pożytecznego łożyska. Organizacja dla organizacji — to nie jest zdrowy objaw.

Obywatel Zero.

...I WYBIERAM TO, CO WOLĘ.

M. KOROLEC-BUJAKOWSKA.

OD WARSZAWY DO SZANGHAJU

W PRZEDSIONKU RAJU

Mała łódka sunie po falach Gangesu. Miarowo zatapiane wiosła krótkiem, urywanem pociągnięciem rzucają srebrne bryzgi na rwący nurt. Słońce przegląda się w polerowanem lustrze. Poranne jest i radosne. Igra psotnie na kręgach i falach wzburzonej wody wśród setek, może tysięcy kąpiących się.

Wypłoszyli zacne krokodyle, do których rzeka z prawa należy. Zabrali ją na wyłączną własność na przestrzeni paru kilometrów. Podzielili zgodnie na oddzielne mykwy według kasty, prowincji, dzielnicy.

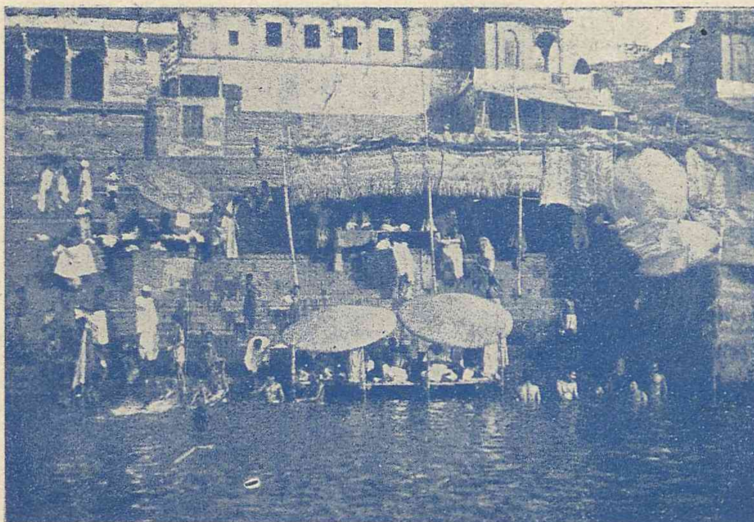
Każdy hindu ma swoje miejsce. Ale wara innym wyznaniom. Idźcie na pustynny przeciwległy brzeg, lub gdzie chcecie.

— Biedny mahometanin mieszkający w tem plugawem mieście nawet nie ma kąpieli w rzece dla ochłody — skarży się stary guide, roztaczając opiekuńczym ruchem ramienia duży czarny parasol nad moją głową.

— Przecie tu jest ich Mecca i Medyna. Czy biedny hindu miałby tam miejsce?

— A no nie —— mruknął niechętnie, natychmiast z dumą wskazując palcem potężny meczet Auraganzeba cesarza, dominujący władczo nad całem zbiegowiskiem świątyń hinduskich i świętych kąpieli.





Kąpielisko braminów.



Wspaniały typ staruszka. Drepce wkoło nas. Zapędza jak kura kurczęta. Ochrania skrzydłem parasola przed niebezpieczeństwem słońca. Załatwia wszelkie sprawunki i wydawanie pieniędzy, biorąc z naszej portmonetki i wyliczając się co do pajsa.

Naznacza wysokość salamów. Dyryguje komu i ile dać. Targuje się. Kłóci. Łaje. I prowadzi nas tam, gdzie chce. W swojej określonej kolejności.

Czasem ulegnie moim namowom, jednak bardzo niechętnie. Trochę mu imponuję, uprzedzając jego typowe tłomaczenia i opowiadania o świątyniach i świątkach.

Umie Benares na pamięć. Jego fach. Pluje z obrzydzenia, oburza się i gorszy, a obchodzi z coraz to nowymi turystami te same bezbożne miejsca. Jego oczy nie widzą już piękna. Może nigdy nie widziały.

Nie rozjaśniają się zachwytem, jak nasze, na widok wysokiego brzegu, gdzie od pół rzeki aż na szczyt wzgórza mieni się w olśniewających blaskach słońca jedyne w swoim stylu mrowisko ludzkie. U szczytu wspaniałe pałace maharadżów. Każda prowincja budowała w swoim stylu.

A poniżej terasami spadające schody kamienne. Świątynie, świątyńki, białe, czerwone, szare. W formie lingamów, jak pieczary i wnęki. Stare, prastare i zupełne nowe. Wczepione w bok urwiska, jak gniazdo jaskółcze.

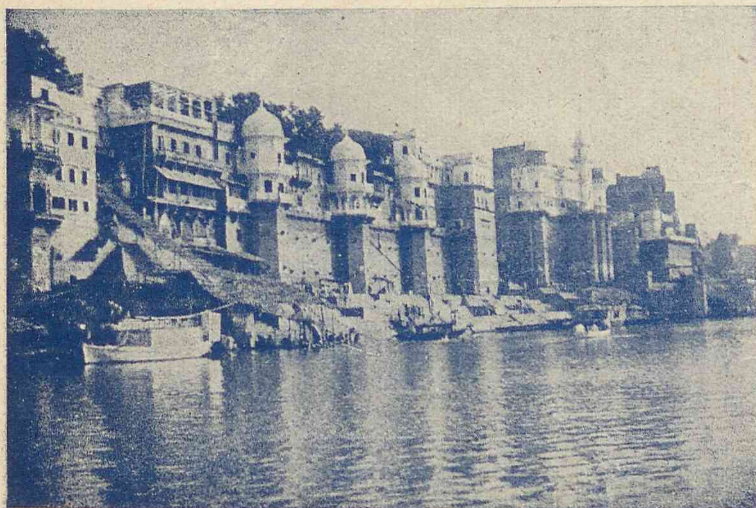
Nad samą wodą szałasy z mat, parasole, łodzie z baldachimami, pomosty. Całe osiedle świętych i gorliwych pielgrzymów. Zbiegły się tutaj wszystkie możliwe typy z całych Indji. Kolory, rysy twarzy tak różne, jak odległe są od siebie Delhi i Madras.

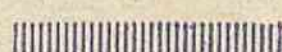
Nie warto zwiedzać Indji. Wystarczy spędzić parę dni nad brzegiem Gangesu, tam można zobaczyć wszystkie prowincje i miasta w swoim odrębnym kolorycie.

Te parę dni da tyle, co kilkomiesięczna włóczęga, a może więcej, bo tutaj wszyscy są tak zajęci modlitwą, że nie zauważą nawet intruza wkradającego się do ich świątyń. A sługa boży za bakczysz pokaże wszystko.

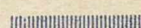
Niezmiennie każda wędrówka po Benares zaczyna się od Gangesu. Na każdem zdjęciu wspaniały meczet Aurangazeba dominuje nad wszystkiem, jakby wzgardliwie stopą strącając do wody prastare świątyńki Gwaljoru. Tak już być powinno.

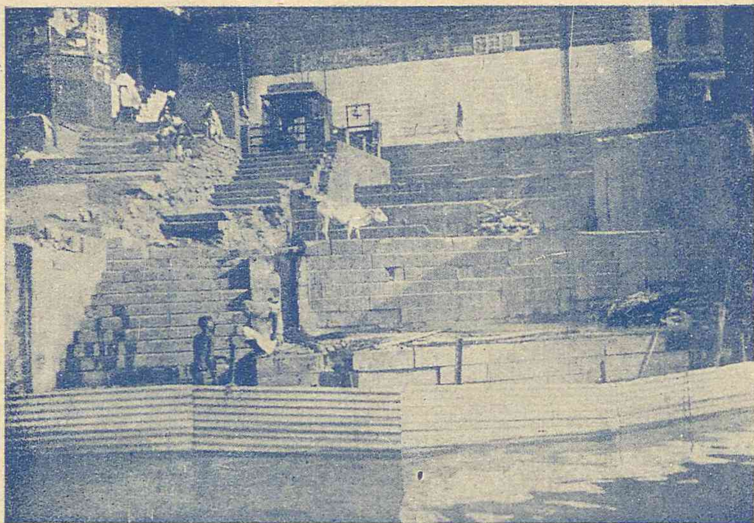
Wśród kąpieli i kąpiołek, szczelnie odgrodzonych od siebie, centrum zajmuje najciekawszy dla widza cmentarz. Stopnie kamienne, a na nich płonące stosy. Nie mamy szczęścia. Dzisiaj są tylko trzy. Jeden dogasa, z drugiego wyłażą nogi pasażera





Pałac Rajputana.





Palenie trupów.

do raju Himalajów. Grabarz, w tym wypadku raczej palacz, długim żelaznym drągiem poprawia zwłoki w stosie i kłody drzewa. Potem tym samym hakiem strąca wygasłe zgliszcza w nurty rzeki. Miotłą zamiecie co do okruszynki i układa nowy stos.

Obok stoją ogromne sągi drzewa i wciąż nowe chłopi przywożą.

Rzeczywiście nie mamy szczęścia. W miejscu, gdzie nieraz płonie szesnaście stosów, ujrzeć tylko trzy.

A przecież dla wzmożenia fabrykacji nowych mieszkańców raju przez środek najbardziej uczęszczanych kąpieli wyprowadzono ścieki z miasta. Z szerokiej paszczy rury kanalizacyjnej bucha w świętą wodę brud — cholera, dżuma, trąd, trachoma, syfilis i cały szereg niezbadanych tropikalnych okropności.

Ze zgrozą mówią po świecie: Benares jest rozsadnikiem zarazy na całe Indje. Najbrudniejszem miastem na kuli ziemskiej.

Nie jest znów tak źle. Zaraza bucha nieustannie w nurty Gangesu. Hindusi kąpią się, piją świętą wodę dla oczyszczenia ducha. A umierać nie chcą jakoś. Może chcą nawet bardzo, ale się nie udaje. Każdy z nich przecie marzy, by umrzeć w Benares i ekstra - pocztą zawędrować w przejasny raj Sziwy, tam w górę, w Himalaje.

Bronimy Benares. Miasto jest raczej czyste. Normalny brud wschodu nie razi, gdy się już przedtem widziało Bagdad i Cawpore.

Szary proch zmieciony miotłą i wiatrem porwał szybki nurt. Duch, jak bańka mydlana, uleciał w przestworza. A nasza łódź przybiła do brzegu. Tam, gdzie w górze u szczytu stromych, kamiennych stopni połyskuje w słońcu miedziany kask świątyni Nepalu.

Wdzieramy się na prostopadłe zbocze. Zagubi się w zakrętach wąska ścieżynka. Otoczy nas cisza drzemiąca w słońcu — i pustka. Niema pielgrzymiej ciżby.

Samotna, opuszczona świątynia. Jeden malowany sadu strzeże jej wrót. Pod miedzianym kaskiem dachu zczerniałe ze starości drewniane ściany. A na nich brokaty rzeźb.

Podchodzimy bliżej przyjrzeć się im dokładnie. I oto przed oczami roztacza się historja miłości bogów. Ciosane w drzewie marchołtowe figurki wyczyniają dziwne historje. Dobry rzeźbiarz musiał mieć wzory w krainie gorków, lub w szkole wysokiej klasy perwersji.

Guide drepcze obok mnie, tłomacząc te „gry gimnastyczne" brzuchatych, sprośnych babek i dziadków drewnianych. Niema co. Byliśmy zachwyceni. Trudno o więcej ruchu, wyrazu i beztroskiego bezwstydu, jak te prześliczne ciosanki z drzewa.

Kto raz się znalazł w Benares, musi przejść szlakiem pielgrzymek przez wszystkie najświętsze świątynie. Musi podziwiać kosztowną kopułę złotej świątyni Sziwy. Nawet wedrzeć się na ganeczek jakiegoś domu, by ocenić ilość setek tysięcy z bliska. Przez ciasną lukę w murze zajrzeć do wnętrza, gdzie w mroku mignie blask ognia i parę postaci stłoczonych wokół lingamu. Myją go, malują, ubierają kwiatami.

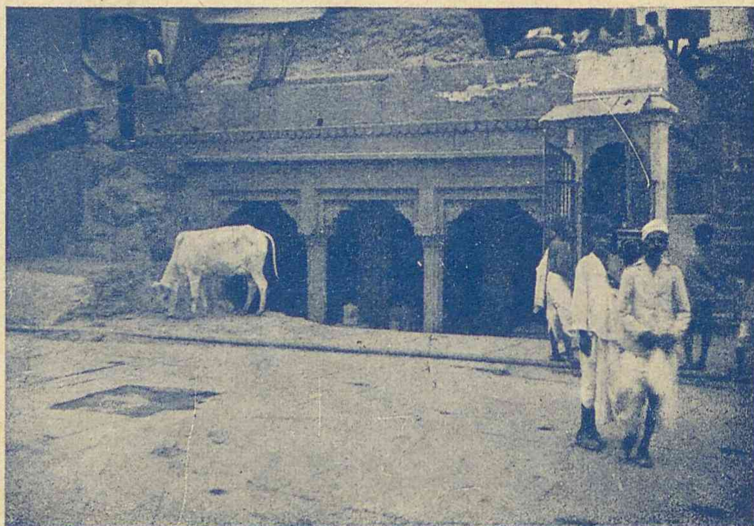
Trzeba się napić cudownej wody u studni wiadomości dobrego i złego. Trzeba się zagłębić w straszliwie wąskie, międzyświątynne przejścia, gdzie depcze się po zwiędłych kwiatach, nadepłuje innym na pięty i ślizga po osoce panu.

Przeciskasz się przez ciżbę, ocierając, zaczepiając o stragany z naszyjnikami z drzewa sandałowego i girlandami kwiatów świątynnych. Stragany wrośnięte, wtulone w zakamarki murów i nisze.

Las wyciągniętych rąk żebraczych. Jęczą, brzęczą miseczkami. Nie skrzywdzi ich pielgrzymi tłum. Nie umrą z głodu u wrót świątyni.

Na grzbiecie fali pielgrzymów wypłynęliśmy aż na brzeg ulicy. Porzuciliśmy wnętrza świętych chramów, by zatonąć w jarmarcznem mrowisku.

Sari, Brokaty z Benares na cały świat znane. Mienią się bogactwem barw i blasku przed olśnionemi oczami. Srebrne gwiazdy zausznic. Ciężkie bransolety i pierścienie. Toporne bożki idole. Sznury, pęki rzeźbionych korali. Zabrać wszystko, lub nic.



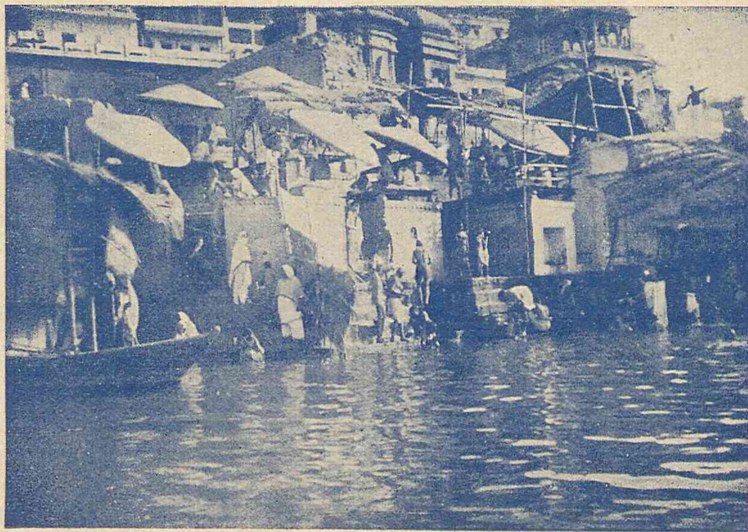
Święta krowa u wrót świątyni.

Może już dość świątyń i jarmarcznego ruchu, zgiełku. Jeszcze jedna świątynia upodobana przez bogi i lud prosty.

Już u wrót wita gościnnie stado makak. — Daj zaraz. Bramin podaje sito słodyczy i zaczyna się łasowanie. Łapką wybierają z ręki. Każda wyszukuje swój ulubiony przysmak.

Łaziliśmy wraz z niemi po tarasie dachu. Tam był jeden brzydki małpiszon. Za słodycze chciał ugryść w rękę. Skarcony, długo wymyślał i szczekał, gryząc głowę kamiennej rzeźby.

Oprowadziły nas w krąg swego domostwa, aż do szerokich schodów basenu, gdzie piją wodę, łapką wlewając w usta, jak hindusi. Odprowadziły nas do wrót świątyni, tam wraz z braminem pożegnały grzecznie i rozstaliśmy się bez żalu może na zawsze.



Wybrzeże Gangesu — kąpiele.

Bez żalu w sercu pożegnaliśmy odpustowe miejsce Indji, przedsionek raju Sziwy. Było, jak wszystkie bardzo święte miejsca, bez różnicy wiary, koloru, klimatu — barwne, brudne, męczące.

Calcutta, maj 1935 r.

WITOLD BUNIKIEWICZ 22

ŻYCIE W KOLORACH

POWIEŚĆ

Każdy nowy prenumerator „Świata" otrzyma początek powieści W. Bunikiewicza „Życie w kolorach", której druk rozpoczęliśmy w październiku.

W budzie skleconej z gałęzi świerków spała rosyjska warta, otulona w kożuchy, a opodal rysowały się kontury domu.

W dobrze oświetlonej izbie tańczyło kilka prawie nagich ciał, a chwiejne ich kroki oraz tęga baterja wypitych butelek świadczyły o sutej libacji.

Pułkownik, dowodzący odcinkiem, wyprawiał imieniny z wódką, winem, muzyką i damami.

Oficer jakiś bębnił na fortepianie, a sam gospodarz zachęcał do picia i do zabawy.

Wszedłem do izby z bronią gotową do strzału, za mną zaś postępowało dziesięciu żołnierzy.

— Przykro mi oznajmić panom, że jesteście jeńcami, przemówiłem po francusku, starając się o wyszukaną uprzejmość.

— Proszę stać w miejscu, najmniejsze zaś poruszenie lub krzyk spowoduje użycie broni.

Moi ludzie podadzą ubrania paniom i panom Za mną marsz, ani pary z ust, bo każę skneblować!

Naprędce odzianych jeńców ujęli żołnierze pod pachy i w mgnieniu oka spuściliśmy się na dno potoku.

Towarzystwo zwiększyło się o czternastu oficerów, osiem dam, kilku dieńszczyków i żołnierzy.

Oszołomieni niespodziewanem zajściem, ponuro wlekli się jeńcy, damy popłakiwały zcicha, żołnierze zaś nabrali zaraz rezonu, skoro zmiarkowali, że nie grożą im tortury ani szubienica.

Daleko było jeszcze do rana, gdyśmy dotarli do okopów.

Książę zawiadomiony o nocnej wyprawie, wysłał trzy automobile po jeńców, a sam wyjechał konno na spotkanie, obawiając się, aby w drodze nie odebrały mu ich oddziały innego pułku i nie przywłaszczyły sobie zasługi. Wielu jest bowiem zazdrośników na świecie.

Natychmiast poszły telegramy do Wiednia, Budapesztu i żony głoszące wielkie zwycięstwo odniesione przez Jego Wysokość, a komunikat sztabu stwierdził urzędowo nieustraszoną brawurę księcia i oddziałów, walczących pod jego rozkazami.

*

Od czasu zepsucia pułkownikowi rosyjskiemu zabawy imieninowej stosunki moje z Mudrochem wyraźnie ochłodły.

Zaniedbywał mnie przyjaciel i nie zapraszał na bułeczki wypiekane jego sposobem w kuchni polowej, a gdym zapytał o powód obojętności, odrzekł pełen jaskrawej niechęci:

— Powinieneś przenieść się do legjonów lub do legji cudzoziemskiej w Afryce, ale nigdy nie zostawać w naszem zrównoważonem wojsku.

Taka awantura zamąci spokój na całej pozycji. bo nieprzyjaciel zechce się odwzajemnić.

Nie rozumiem, co cię napadło!

A twoja obrona pod Krzywym Potokiem?

— Odpowiedziałem przyjacielowi, przypominając mu powstrzymanie ataku całej dywizji. Był to etap przełomowy w działaniach wojennych i, gdyby była sprawiedliwość, powinieneś otrzy-

mać order Marji Teresy, dziedziczne baronostwo i rangę kapitana.

— Co słusznie, to słusznie, ale czy się sam pchałem? objaśniał Mudroch, zakomenderowałem tylko: ognia, odległość 600 kroków! Umyślnie nawet podałem wyższą podziałkę, aby pociski znosiły i nie mordowały ludzi. Licho jednak wiedziało, że nawet kule austrjackie nie dolatują tak daleko, jak je wysyłają.

Dalsze filozofowania Mudrocha przerwało wejście von Strzelbicky'ego.

Trzymał w ręku kartę pocztową, którą mu w tej chwili doręczono i próżno silił się na odcyfrowanie drobnych literek, pisanych ręką kobiecą.

— Wyręcz mnie, przyjacielu, nie znam na tyle waszego języka, abym zrozumiał sens każdego słowa... Młoda dama, poznana w drodze na Węgry, dziękowała grzecznemu kawalerowi za pamięć i zapytywała, czy nauczył się już po polsku.

Odczytałem nazwisko...

Znam ją, przecież to Wenus Wisłocka.

— Śliczna dziewczyna, winszuję ci, kolego...

Ritter von Powala nie posiadał się z radości i choć od poznania pięknej Zosi spis najurodziwszych kobiet, jakie kiedykolwiek widział w życiu, powiększył się o kilka stronic notatnika, jednakże w poruczniku żyło ciągle wspomnienie jej dużych, błękitnych oczu, ocienionych czarną rzęsą.

— Mieszka z rodzicami pod Wiedniem i prosi, bym ich odwiedził, jeśli będę w tamtych stronach. Nadzwyczajna dziewczyna — powtarzał Strzelbicky.

— Lecz bardzo niedostępna, i harda, wątpię, czyby się zmieniła od tego czasu, gdym ją widział po raz ostatni — dodałem, chcąc przestrzec kolegę przed rozczarowaniem...

— Ma w sobie coś takiego, iż owinęłaby mnie na około palca, zrobiłaby ze mną co chciała, psiakrew pandobrodzieju, mówię ci, iż to jest prawdziwa miłość, ona jedna i nikt więcej, perorował Strzelbicky, ukrywając kartkę wśród najdroższych pamiątek i talizmanów w portfelu, na sercu.

Po chwili zaś porywów przemówił spokojniej:

— Gdyby tak poprosić o urlop, blisko pół roku bawimy już na froncie, należałby się kilkudniowy odpoczynek. Oficerowie niemieccy co kilka tygodni jeżdżą na urlopy wypoczynkowe, a u nas nic...

— Marja Teresa nie przewidziała tak długiej wojny, więc nie wspomniała w regulaminie o urlopach, a następcy jej, z szacunku dla matki rodu, nie odważyli się zmienić ani słowa, przeto siedź w okopach, dopóki cię nie trafi kula lub wszy nie zagryzą, prawił Mudroch, pykając nieodstępną fajeczkę.

Strzelbicky bardzo się zafrasował, czując nieosiągalność swych marzeń, a Mudroch prawił dalej:

—Zgłoś się chorym i tak już wyglądasz z powodu tych ciągłych miłości i mieszkania w ziemiance, jak straszydło na wrony.

Gdybym w cywilu spotkał taką osobę, wynająłbym ją do pilnowania prosa, które mi wróble wyjadają.

Porucznik jednak wstrząsnął głową, opędzając się złej myśli.

— Nie wypada, nie wypada, kolego, służba dla monarchy wymaga wytrwania. Nie posłucham twej rady!

Mudroch splunął na ziemię gorzką śliną i wybełkotał coś w rodzaju: Głupiec...

* * *

Erweling zjawił się znowu na froncie.

Lekarze orzekli, iż jest zdrów i normalny, przeto może walczyć za ojczyznę.

Kapitan przyprowadził świeży bataljon, odrazu zajął okopy i rozpoczął gwałtowną strzelaninę.

Na odcinku Erwelinga nie ustawała palba dzień i noc, co trzeci żołnierz mógł odpoczywać, pozostałych zaś zmuszał kapitan do ustawicznej strzelaniny.

Sam obchodził okopy i rachował ilość zużytych łusek u każdego żołnierza. Biada, gdy znalazł za mało.

Winowajcę skazywał na osobliwą karę przez siebie wymyśloną. Kazał stawać leniwemu strzelcowi na wale okopu i w tej pozycji przetrwać półgodziny lub godzinę.

Osobiście doglądał wykonania kary.

Wielki cel ściągał odrazu uwagę nieprzyjacielskich strzelców, którzy także nie próżnowali.

Brali więc skazańca na muszkę i zwykle po kilku minutach winowajca spadał z wału, podziurawiony kulami.

W taki sposób zginął kapral Hawryłów, zasłużony w wielu bitwach, z tego powodu pożegnał się z światem jednoroczny ochotnik Berski, w cywilu student praw, padł podoficer Szostak i kilku żołnierzy. Nie było dnia, aby z dwóch lub trzech winowajców nie czynił Erweling tarczy strzeleckiej dla nieprzyjaciół.

Nie mieli wyboru, zmuszał ich browningem do wykonania rozkazu. Obojętne więc, z czyjej kuli mieli zginąć. Rosyjska mogła tylko zranić, Erwelinga napewno zabijała.

Jeden z leutnantów sprzeciwił się stosowaniu takich kar w swojej kompanji i powołał się na regulamin, nakazujący szanowanie ludzi i amunicji.

Zuchwalstwa swego omal nie przepłacił życiem, albowiem szaleniec skierował przeciw niemu lufę.

Lecz w tej dramatycznej chwili, gdy pociągnąć miał za cyngiel, huknął wpobliżu strzał, a Erweling, zatrzepotawszy rękoma, padł z roztrzaskaną głową na ziemię.

W taki sposób nie zabijała zwykła kula, niewątpliwie był to pocisk dum-dum.

Erweling przekładał go ponad wszystkie inne i nakazywał ścinać ostre końce kul.

W jednej z ziemianek była cała fabryka rozrywających ciało pocisków, i dzień i noc na zmianę zniekształcali kule szewcy, kucharze i ordynansi, aby ubijać nimi „psy rosyjskie".

Nie było żadnej wątpliwości, że Erweling wychylił głowę poza okop i zginął bohaterską śmiercią, rażony pociskiem wroga.

Taki napis umieszczono na krzyżu dębowym, który stanął nad mogiłą kapitana.

Wprawdzie szeptali sobie na ucho żołnierze, że ordynans zagrożonego porucznika palnął w łeb szaleńcowi, ale szarże uspokoiły wnet krążące plotki obietnicą, że każdy, kto będzie rozsiewał oszczerstwa, zginąć może w podobny sposób.

Zresztą niktby nie udowodnił pogłoski, albowiem nie było świadków.

Książę nie smucił się śmiercią kapitana, gdyż Erweling psuł mu zawsze humor przedstawianiem do karnych raportów podwładnych oficerów, w dodatku nie grywał w taroka, a w kasynie siadał posępnie przy butelce wina i nigdy nie śmiał się z żartów Jego Wysokości.

Nie był przeto chlubą pułku.

Zresztą, czy w takiej głupiej leśniczówce położonej w głębi Karpat można się smucić lub wogóle mieć jakiekolwiek uczucia?

— Wierzcie mi panowie, mawiał książę, człowiek kamienieje z nudy, nie trawi, nie myśli, przestaje mówić i drętwieje jak kloc drewna.

Jeśli tak dłużej potrwa i nie zepchną nas Moskale w głąb kraju, albo my ich nie wypędzimy w bardziej cywilizowane okolice, piękny kraj Arpada, mego kuzyna, będzie grobem dla całej armji, żalił się książę, — poprostu zgłupiejemy w tem pustkowiu.

— Czy wyobrażacie sobie, że mając dwanaście taroków przegrałem dzisiaj grę i dałem sobie złapać pagata.

I to komu? Leutnantowi Paciuczkowi, który poraz drugi w życiu trzymał karty w ręce. Unerhört!

Książę miał ponadto głęboki żal do okolicznych mieszkańców.

Nie chcieli się domyśleć, że jest on spokrewniony z rodem dawnych dynastów węgierskich, gdyż nikt z patrjotów nie przybył go powitać, ani nawet nie zaprosił na skromne śniadanko do siebie.

Jakaż to ogromna różnica między Węgrami a Galicjanami?

Genealogja rodu von Lichtenfeld Satorhaza Dubrovsky'ch zapisała również, iż w sławnej tej rodzinie płynie krew kilku piastowskich i jagiellońskich księżniczek, ale któż tego nie wiedział w Galicji?

Raz nawet u hrabiego Artura, po dobrem śniadaniu, nazwano księcia „Najjaśniejszym Panem", ale nie przypomina sobie szczegółów, co mówiono przy tej sposobności.

Utkwiły mu w pamięci jakieś oderwane słowa: Warszawa, Poznań, od morza do morza, niepodległość. Tokaj był wtedy wyborny, a na ostatku pito szampana szklankami od wody, bo służba nie nadążyła nalewać kieliszków.

Zresztą rozprawiano szeptem, półsłówkami i trudno się było domyśleć, czego chcieli ci polscy fantaści.

Wtajemniczony w to przeżycie Władek, wytłumaczył księciu, iż właśnie nadeszła pora, w której powinien się zbliżyć do narodu polskiego i otoczyć opieką żołnierzy galicyjskich i legjony, albowiem w najbliższej przyszłości może się to bardzo opłacić.

Niewiadomo bowiem, co wyniknie z tej wojny, a Polacy koniecznie chcą mieć swój kraj i własnego króla.

Książę sympatyzował zasadniczo z tą myślą, lecz pewien drobny wypadek zmącił mu spokój ducha i poplątał myśli.

W stajni dowództwa pułku stał pełnej krwi anglik, kasztan z białą gwiazdką na czole.

Pewnego popołudnia, gdy Jego Wysokość udał się z nieodstępnym Władkiem w odwiedziny do generała, wyrafinowany jakiś oczajdusza zamienił konia.

Poprostu w miejsce pysznego anglika uwiązał do żłobu starą, zachodzoną szkapę, trochę kulawą na przednie nogi.

Von Lichtenfeld Satorhaza Dubrovsky szalał z oburzenia.

— Co za zuchwalstwo, jaka bezczelność, takiej nikczemności nie zapisała nigdy historja austrjacka.

W biały dzień i to w oczach ekscelencji, zabrać konia Jego Książęcej Wysokości! Nie, tego, nie mogły ścierpieć żadne nerwy!

Władek przypuszczał, iż rumaka porwali Prusacy, nawykli do rekwirowania wszystkiego, co tylko wpadnie w ręce, znaleźli się jednak świadkowie, którzy widzieli na własne oczy kręcącego się w pobliżu ułana legjonistów polskich.

Pocwałował on potem niby opętany naprzełaj przez rowy i płoty, oglądając się za siebie, jakby śledził, czy go nie ścigają.

A nadomiar złego tego samego jeszcze dnia zameldował kapitan Kocurek, że piwniczka książęca doznała poważnego uszczerbku, albowiem zmniejszyła się nagle o baterję najlepszego koniaku i dwa tuziny wytrawnej madery.

Dotarł do niej jakiś znawca, bo wybrał, co było najlepsze.

— Chwytać, chwytać rabusia! jęknął książę, a jęk ten rozbiegł się jako hasło po całym pułku, trafiając do uszu nawet ostatniego ciury.

Jakoż wieczorem przywlókł sierżant Bombała do kancelarji pułkowej dwóch spitych legunów.

Znaleziono ich w krzakach opodal pozycji z dowodami rzeczowemi w rękach.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZE SCENY I ESTRADY

ZOSIA TERNÉ



Na scence „Cyrulika" Zosia Terné, pełna uroku i wdzięku, zawsze mile widziana i serdecznie witana, jako „słowik Warszawy" zbiera zasłużone oklaski w każdym programie.

Fot. Brzozowski.

ZNAKOMITA TANCERKA HALINA HULANICKA



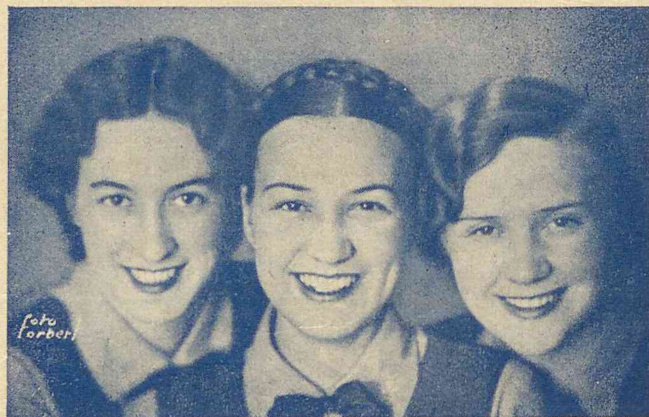
Znakomita tancerka Halina Hulanicka, po dłuższej przerwie, wystąpi z własnym recitalem w sali teatru „Cyrulik Warszawski" dnia 15-go marca o godz. 4.30 po poł. Artystka sama wypełni cały program, na który złożą się wyłącznie nowe tańce, między innemi: Navarra, Albeniza, taniec Meduzy — Scotta, polka i marsz ze Suity F. R. Łabuńskiego i t. d.

ŚWIETNY KOMIK GIERASIEŃSKI



Bezpośredni komizm, plastyczna mimika i dosadna ekspresja — to główne atuty tego niezmordowanego i utalentowanego artysty.

SIOSTRY BURSKIE



Siostry Burskie jako pieśniarki zdobyły już liczne zastępy zwolenników.

KOBIETA — I BASTA!

POWIEŚĆ

Każdy nowy prenumerator „Świata" otrzyma początek powieści Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej „Kobieta — i basta", której druk rozpoczęliśmy w listopadzie.

Patrzy na puste wieszadła szatni, na zamkniętą kasę, na zdarte afisze i ma wrażenie, że ją ktoś mocno, znienacka, uderzył w głowę — i ona teraz oto stoi nawpół „zamroczona" i „ogłupiała"...

Jakto?

Więc znowu wszystko trzeba zaczynać od nowa? Więc znowu trzeba chodzić, pytać, szukać i zabiegać? Naturalnie, w tej chwili we wszystkich teatrach już są umowy popodpisywane z dekoratorami! Naturalnie, Emil już się tam gdzieś urządził. Naturalnie, znowu trzeba będzie zostać bez pracy.

Marta pod wpływem tej przykrości nagłej, której się nie spodziewała, widzi wszystko w czarnych kolorach. Żegna się nawpół przytomnie z Lolą Finkiewiczówną (tancerką) i uśmiecha się blado do Radzewicza (tego sławnego piosenkarza).

Przed gmachem teatru słońce. Świeżo polany wodą chodnik i rząd stojących taksówek. Jednem słowem, normalny wygląd ulicy. Trzeba być rozsądną...

Może iść do mistrza Chłopskiego i poradzić się go? Może prosić o poparcie profesora Hańczę? Może zwrócić się do Tankiewicza, Feingolda lub Zahorskiego za pośrednictwem ojca, który z nimi wszystkimi razem żyje za pan brat i z nimi wszystkimi razem pije?

Br...r...r... Protekcja! Powoływanie się na znajomości! Tak zwane „plecy"!

Ona ma wstręt do tego rodzaju przepychania się przez życie. Więc co?

Narazie, obiad u rodziców na Wilczej, a potem się zobaczy...

Podczas jedzenia zupy mówi się z rodzicami o pobycie w Konstancinie; podczas pieczystego rozmowa zjeżdża na temat babci — ale przy deserze? Przy deserze Marta wytrzymać już dłużej nie może i wyjawia katastrofalną tajemnicę kabaretowej plajty.

Okropność! Ojciec blednie i nadrabia miną tylko dlatego, by jej nie martwić. A matka? Matka wzrusza ramionami. Ona dawno mówiła, że tu jej włosy na dłoni wyrosną, jeżeli kiedy cośkolwiek będzie z tego całego Marty malowania. Matka poprostu cierpliwości już na to wszystko nie ma! Trafia się dziewczynie taka partja! Taki Szenker! I ta głupia odmawia! To na to trzeba być warjatką! Każda inna na jej miejscu z pocałowaniem ręki przyjęłaby taką karjerę życiową. A ona nosem kręci! I co faktycznie temu Szenkerowi można zarzucić?

Matka dostaje wypieków na twarzy. Jej obfity biust pod czysto upraną i pięknie wyprasowaną bluzką faluje z irytacji. Jej usta wyrzucają z siebie potoki niepohamowanych już słów. Gdyby ona matki słuchała, miałaby zapewniony byt! I rodzice z nią mieliby nareszcie spokój!

— „Co to to nie!"

Ojciec protestuje! Ojciec wali pięścią w stół!

Córka jego musi przezwyciężyć trudności i być wielką artystką! Małżeństwo zmarnowałoby jej talent! Takim kobietom, jak jego córka, niewolno wychodzić zamąż! Niewolno... na rajzbrecie dziecka przewijać! Niewolno... pendzlami malować... parapetów okiennych i drzwi, prowadzących do ubikacji! Ona zamąż nie potrzebuje wychodzić! Ona bez miłości obejść się może! Ją stać na to! Chłopski mówił...

Ale tego, co Chłopski mówił, matka nie jest zupełnie ciekawa, zato jest pewna tego, że gdyby córka wyszła za Szenkera, miałaby nietylko karakuły i samochody, ale i ułatwione wyjazdy zagranicę na dalsze studja malarskie.

Pokusy...

Marta milknie i wpatruje się w matkę...

Psiakrew, co za sprytne podejście do rzeczy. Co robić? Co mówić? Co w tej chwili odpowiedzieć, aby nie dać poznać po sobie, że ostatnie argumenty mamy trafiły w jej czułą strunę? Co radzi urażona ambicja? Kilka zwięzłych, przykrych słów:

— Widzę, że jestem mamie ciężarem. Postaram się więc nim nie być?

Marta wstaje i wychodzi.

Wybiega za nią do przedpokoju ojciec. Jest zdenerwowany. Głos mu drży i ręce mu się trzęsą. On przecież nie zasłużył na to, co usłyszał. On nie zasłużył. Więc ręce córki obejmują ojcowską szyję i twarz jej przytula się do ojcowskiej twarzy, po tej całej „awanturze rodzinnej", która im wszystkim tyle krwi napsuła.

*

Marta wchodzi po kamiennych bocznych schodach prowadzących do dyrekcji „Teatru im. Wyspiańskiego".

Serce jej bije i nogi jej wstępują na wydeptane stopnie wolno, z ociąganiem, niechętnie. Na pół piętra przystaje. Co będzie, jeżeli i tu? Jeżeli i tu powiedzą, że nic z jej oferty? A że powiedzą tak— to więcej niż pewne. Teatr im. Wyspiańskiego ma oddawna i repertuar ustalony i budżet zakreślony i personel zaangażowany!

Teatr Wyspiańskiego! Marzenie aktorów i autorów! Marzenie reżyserów i dekoratorów!

Za wielką aksamitną kotarą widać dwóch statystów, którzy w greckich chlamidach czekają na wejście na scenę. (Zapewne teraz grają drugi akt „Protezilasa i Laodamji").

Na ścianie żółci się wielki afisz programowy. Elektryczne kule oświetlają dwa krzesła Ludwik XV wywrócone do góry złoconemi, giętemi nóżkami. (Z jakiej sztuki?).

Woźnemu, który wbiega z jakimś papierem na górę (po dwa schody), trzeba wręczyć swój bilet wizytowy. A potem czekać w maleńkiej poczekalni, razem z dwiema jeszcze osobami, wpatrzonemi tępym wzrokiem przed siebie.

Gabinet dyrektora jest wielki, ale jak wygląda, tego Marta nie wie. Ześrodkowała uwagę na twarzy tego człowieka, od którego w tej chwili zależy jej przyszłość i nie widzi nic poza nim.

On oczywiście sobie z tego nie zdaje sprawy. Jest bardzo zajęty. Odbiera telefony, podpisuje jakieś papiery, wydaje urzędnikom dyspozycje.

Panna Tarasowiczówna? Owszem. Dyrektor podpisze z nią umowę, o ile Kossacki współpracować z nią będzie.

— „W przeszłym sezonie teatralnym wasza spółka pracowała tak ciekawie, że owszem, dlaczego by nie? Nowych młodych talentów nam potrzeba! Nowych pomysłów i nowych sił"!

Czy panna Tarasowiczówna słyszała, jaki jest program repertuaru teatralnego na sezon 1935/36-y? Nie?

A więc „Cyd, Romans Florencki, Don Juan, Salome". Naturalnie Szekspir, Wyspiański, Rostworowski, Rittner. — Prócz tego kilka sztuk współczesnych. Możliwy przyjazd Pirandella na premjerę. I spodziewany wyjazd Lipowskiego na jedną z jego nowości repertuarowych.

Marta uśmiecha się i dyrektor odruchowo uśmiecha się też. Jest w tym uśmiechu pierwsza nić rodzącej się sympatji. Ale już po chwili uśmiech ten rozprasza się w roztargnieniu, wywołanem nowym dzwonkiem telefonicznym i równoczesnem pukaniem do gabinetu.

Więc ona wstaje, kłania się i wychodzi. Po schodach teraz nie schodzi, a zbiega, uśmiecha się do dwóch wywróconych krzesełek Louis XV i kiwa głową radośnie woźnemu, który ją anonsował.

* * *

Emil mówi, że ona przez lato bardzo się zmieniła i wyładniała.

Co na to wpłynęło? Zdaje się zmiana uczesania i opalenizna? (on specjalnie lubi opalone jasne blondynki o niebieskich oczach!) Czy nie zaręczyła się z Szenkerem? Nie. No to klasa! A czy w Kazimierzu nie ucięła jakiegoś romansiku z którym z pacykarzy.

Nie? No to szkoda! Toby dobrze wpłynęło na jej system nerwowy i dałoby innym kandydatom nadzieję na przyszłość.

On bardzo rad jest z tej propozycji teatralnej. Wprawdzie dzisiaj miał podpisać kontrakt z małą scenką kameralną, ale wobec takiej perspektywy musi tamtym wyciąć szpasa i zrobić im zawód.

Czy ona nie wie, czy w teatrze Wyspiańskiego dają zaliczki a conto pensji? Bo właśnie wczoraj przegrał w karty ostatnie dziesięć złotych.

Nie. Nie wie, czy w teatrze Wyspiańskiego dają zaliczki, ale narazie może pożyczyć sto złotych, które dzisiaj dostała od ojca. Emil dziękuje koleżance.

On znowu ma długi. Znowu ma nieodprasowane spodnie! Znowu ma wyświeconą marynarkę! Psie życie i basta! Raz człowiek pod wozem, to znów na wozie! I co to dziwnego, że czasem robi się świństwa i małe łajdactwa .Dał przecież w kameralnym teatrze słowo honoru, że będzie z nimi współpracował, ale teraz gwizdnie na to przyrzeczenie, bez skrupułów.

Chodzi po pokoju od biurka do drzwi i z powrotem. Gada i gada. Narzeka na życie, ale z intonacji głosu i ze sposobu bycia widać, że jest rad! Że jest w świetnym humorze. Jeżeli wypowiada te banalne kryzysowe tyrady — to tylko pro forma!

Naprawdę niepokoi go teraz już tylko to, jakie mu dadzą warunki w tym teatrze im. Wyspiańskiego i nic pozatem!

Marcie przykro, że z nim znowu będzie musiała współpracować! Ale taki przecież warunek postawiono jej w teatrze imienia Wyspiańskiego. W teatrze, który jest jej ocaleniem i przyszłością!

Jaką przyszłością? Artystyczną?

Oh Marto... Marto przyznaj się sama przed sobą, że od dwóch dni więcej myślisz o możliwości zobaczenia Jurka Lipowskiego, niż o swej pracy dekoracyjnej.

*

Marta zasnąć nie może. Liczy do stu, zamyka mocno powieki i zasnąć nie może. Więc przestaje liczyć i... znów myśli o Jurku.

Oh Marto, Marto! Przecież za dwa, trzy lub cztery miesiące możesz go zobaczyć! Możesz nawet jego sztukę dekorować! Możesz się na próbach z nim widywać! Możesz się mu nawet podobać!

Ach... Nadzieja! To rzecz niebezpieczna. Każe cieszyć się na zapas. Każe łudzić się. Rozsądniej doprawdy byłoby nie myśleć o tem i zaręczyć się z Szenkerem. Byłaby to asekuracja przed dramatem życiowym, przed ewentualnością, gdyby tak Monsieur George Lipowsky zupełnie sobie nawet nie mógł przypomnieć jakiejś Marteczki, która mu się pozwoliła kiedyś pocałować.

Ona boi się powrotu obcego, sławnego człowieka i bardzo tego powrotu pragnie! Przecież będąc w Paryżu wynajęła pokoik w pensjonacie na rue du Naple tylko dlatego, że Jurek mieszkał o dwa kroki przy rue du Rocher. Ale nie spotkali się nigdy w Paryżu. A może tylko przeszli obok siebie zmienieni do niepoznania i sobie obcy?

Chce teraz koniecznie zasnąć. Zamyka więc znowu oczy i znowu zaczyna liczyć do stu...

Jurek zapewne jest żonaty? Tak, to zupełnie możliwe! Jurek może być żonaty! Cóż to miał może czekać na nią? Czy co? A ona? Ona też powinna machnąć się za tego Szenkera, chociażby dlatego, żeby Jurkowi pokazać, że nie jest starą panną, że ma powodzenie, że sobie znalazła męża!

Oh Marto, Marto! Jakże ta Warszawa cię przez ten rok urobiła na swoje mieszczańskie kopyto! Uff. Wybij sobie proszę te wszystkie bzdury z głowy i śpij.

„SIEDEM KRÓW CHUDYCH".

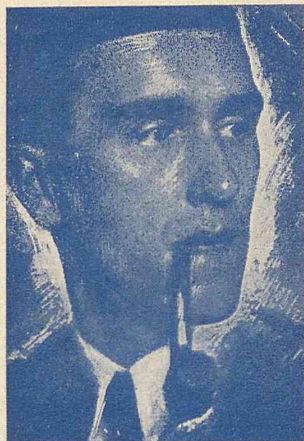
Marta angażuje ludzi do pomocy. Tych samych, z których była tak bardzo zadowolona w malarni kabaretu F. D. O. Pisze więc karteczki do nich obu, do pana Andrzeja Grzesika, zamieszkałego przy ulicy Tamka, i do pana Kowalskiego, zamieszkałego przy ulicy Towarowej.

Grzesik przychodzi pierwszy. Jest chudy, blady i zadyszany od tych schodów, na które wszedł (dozorca windy mu nie chciał otworzyć). Nie miał pracy latem, wymizerował się więc i spokojność o swój los utracił. Nie sypiał po nocach, w dzień nie dojadał i na serce całkiem zapadł. Tłucze mu się to serce w piersiach, łomocze, kłuje, niepokoi.

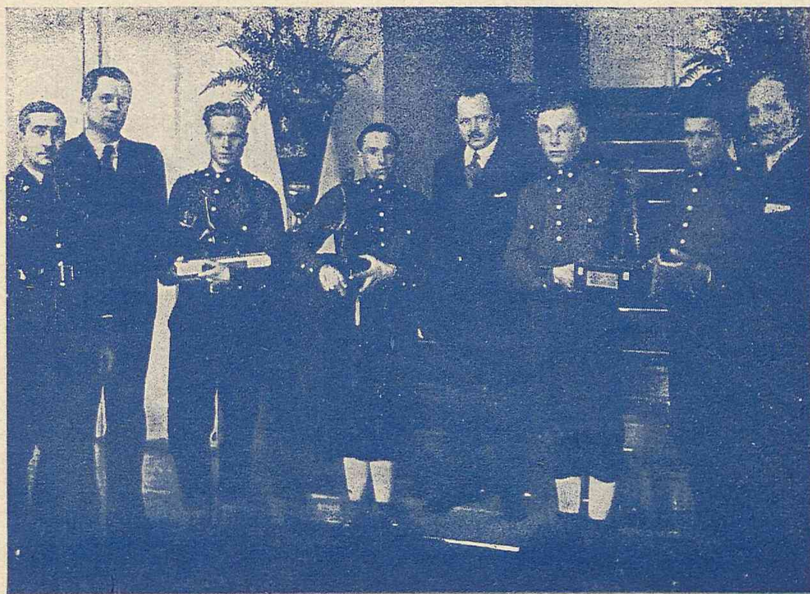
(Dalszy ciąg nastąpi).

TYDZIEŃ ŚWIATA

WYSTAWA GŁOWACKIEGO W AMERYCE



Edward Głowacki wystawił obecnie w Art Institute w Milwaukee kolekcję swych karykatur najznakomitszych osobistości współczesnej Polski i zagranicy. Wystawa cieszy się dużem powodzeniem, o czem przekonywują relacje z prasy amerykańskiej.



P. premjer Marjan Zyndram-Kościałkowski przyjął zwycięski patrol narciarski.

TRYUMFY MARJI MALICKIEJ





Stylowy stary dwór pp. J. Jabłońskich w Pniewie, zasypany ostatnim przedwiosennym śniegiem .

„Trafika Pani Generałowej" ze świetną Marją Malicką idzie w jej teatrze 75-ty raz.

WANDA ROJCEWICZOWA

KOBIETA U FRYZJERA

(Humoreska)

Jakto? Przecież miałam zamówioną godzinę?

No tak, ale pani się spóźniła — o godzinę..

Zapisałem panią wczoraj, do wodnej ondulacji, na czternastą; a teraz — dziesięć minut — po piętnastej!

Hm, tych kilka minut opóźnienia.. No, cóż robić? Zaczekam.

Ale, panie Józefie — niedługo, prawda?

Pan Józef zawile tłumaczy, że sam już nic nie wie, jak to będzie, bo mu się wszystko przez te opóźnienia — pokręciło; ma aż trzy panie, które zaraz przyjdą — że hrabina Pipidrini, że konsulowa z Pantelarji i sekretarzowa z Lampeduzy — też się spóźniły!

Ten „łańcuch opóźnień" — wikła mu robotę, więc może, więc ewentualnie więc...

■

Charakterystyczny ten djalożek toczy się tuż nad mojem uchem, nad którem właśnie — schylony pan Józef — układa misternie świeżo zaondulowane fale włosów.

Szykowna pani usiadła obok mnie i zapaliwszy papierosa — zaczęła przeglądać żurnale. Po paru minutach — zerwała się i pobiegła do telefonu: pięć dłuższych i dwie — krótsze rozmówki (bo trudno w publicznym lokalu mówić swobodnie przez telefon).

Jest już z powrotem — i na opuszczonem przezemnie krzesełku wdzięcznie się lokuje.

■

Jak dotychczas — wszystko się odbywa normalnie i — rzec można — banalnie.

Bo, że kobieta się spóźnia o „małą godzinkę" — że kobieta „zadużo" telefonuje, przez co tworzy się w lokalu publicznym ogonek do telefonu — innych kobiet, które, też chciałyby — „zadużo" telefonować — nic w tem jeszcze nadzwyczajnego.

Ale proszę mi wytłumaczyć, dlaczego, gdy pierwszy strumień ciepłej wody zwilży jej skronie, lub gdy fryzjer gorącem żelazkiem zaczyna muskać włosy — dlaczego prawie każda kobieta wpada w trans prawdomówności, w trans wynurzeń najbardziej intymnych, najistotniejszych?

Bo czego w tem opowiadaniu niema: mąż, kochanek i — ten trzeci.

Sprawy tualetowe, recepcje, recepty— również: obgadywanie najlepszych przyjaciółek i — wogóle kobiet, ale tak od A do Zet!

Krytyka cudzej lekkomyślności i własne credo życiowe; sprawy kulinarne i kłopoty z Marysią — psy ulubione i potrawy. Projekty, podróże, i t. d. i t. d. Sypialnia, sypialnia, sypialnia!

I serce jej, które w tem opowiadaniu zmienia barwę, jak — kameleon: to płonie rubinowym blaskiem najczystszej wody — to rozkwita w miłosnym upale — jak kwiat szkarłatny — cała gama barw — od płomieni do zgasłych, ciemnych żużli...

To staje się malutkie, malutkie, drżące, spopielałe w nieszczęściu — to znów jest tylko organem fizjologicznym, który znany lekarz każe wieźć czemprędzej — do znanej kuracyjnej miejscowości — na odpoczynek.

„Jakby pan postąpił w tym wypadku? Bo widzi pan"...

Nie czeka na odpowiedź i de facto— wcale jej nie potrzebuje, a cennej zapewne rady pana Józefa nie zastosowałaby — napewno!

Pan Józef zaś, mówiąc szczerze, ma jedno pragnienie „w tym wypadku": nadać nowy, modny ruch jej żółto-rudym włosom (i zrobić to samo — jaknajprędzej — nowej klientce, która co chwila z niecierpliwością spogląda na zegarek w platynowej bransoletce), a musi słuchać — do pewnego stopnia uważnie— tej Niagary słów, podtrzymując ich wylew, zresztą — zbytecznie, monosylabowemi mruknięciami.

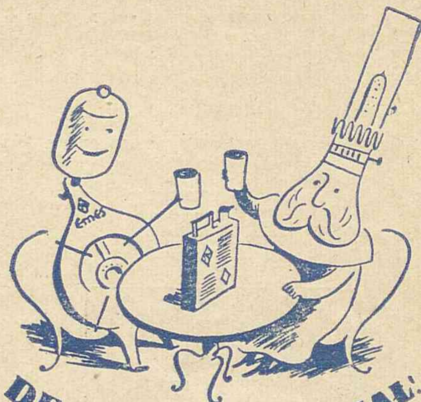
— Bo wie pan — „on" mi powiedział wczoraj na balu „Ornitologicznym", że jest mi cudownie w tej błękitnej sukni od Patou (o włos Zuza mi jej nie skopjowała!), że wyglądam — „zatrważająco": vous etes l'oiseau bleu de mes reves — my blue bird...

Ach, jak to brzmiało na tle tanga...

A wie pan, że najciekawsza w tej sukni, jest linja dekoltu — kończy się tu...

Ach, kończy? Myślałem, że dopiero zaczyna?—powiada frywolnie, lecz bez złej intencji — pan Józef, albowiem nie słyszał dobrze, o co chodzi i nie zapamiętał miejsca, gdzie ów dekolt miał— ekspirować...

Moja „nieznajoma — znajoma" jest w transie, więc nic nie słyszy i na nic nie reaguje...



— No i wie pan, poszliśmy do oranżerji, która się łączy z buduarem ambasadorowej i...

■

Jeżeli choroba — rakiem zwana, rozwija się w myśl nowoczesnych teorji pod wpływem promieniowania ziemi w danem miejscu — a znowu, w innem, gdzie owo promieniowanie jest słabsze — zanika; — jeżeli, stale podlegamy przeróżnym wpływom kosmicznym — jeżeli znanem jest z bakterjologji, że taki a taki bakcyl prosperuje świetnie — przy takiej a takiej temperaturze — a przy innej — zamiera, wtedy dopiero możemy przypuszczać na tej płaszczyźnie, że mamy tu też do czynienia ze „zjawiskiem naukowem" i że „bakcyl otwartości" rozwija się, powiedzmy — przy nagrzaniu żelazkiem do 45° Celsjusza — naskórka głowy, w okolicy „glandula pinealis" największego z gangiji, który według Kartezjusza — jest siedliskiem duszy ludzkiej; lub, że opary z suszących się masowo włosów przy wodnej ondulacji wytwarzają taki haszyszowy tuman, w którym kobiety mówią — jak nieprzytomne — prawdę...

Bo tak jest — moi państwo!

Kobieta tylko i wyłącznie u fryzjera — mówi prawdę, tak jakby odwracała rękaw u futra: pokazuje „podszewkę" swojej duszy, do najskrytszych drgnień, do najbardziej finezyjnych odcieni...

Ale — dlaczego tak się dzieje?

Czemu nie u krawcowej, kapelusznicy lub masażystki? Może spróbujemy wyjaśnić tę kwestję bardziej życiowo i psychologicznie: właściwie, komu kobieta— biedactwo, może powiedzieć wszystko, ale tak — wszystko?

Mężowi?

— Co za pomysł!

Kochankowi?

— Skądże znowu... Prysłaby bezpowrotnie bańka mydlana miłości...

Temu trzeciemu?

Ale — przenigdy! Przecież to jest materjał na jednego z tych pierwszych!

Reasumujmy: więc — ani ten, który

był, ani ten, który jest, ani ten — który będzie. A już w żadnym wypadku— ten — najciekawszy, który — mógłby być... Zaś całkiem nie do pomyślenia jest osoba tego dziesiątego, czy dwudziestego (dane arytmetyczne są tu rzeczą— indywidualną), bo jest to przecież „najpreludiumniejsze" preludium — najsłodsza faza flirtu in spe - istne sercowe rachatłukum...

A więc — brat? Ojciec? Krewny? Przyjaciel?

Quelle idee...

Wobec tego musimy odrzucić męską kandydaturę, gdyż te stwory (czy potwory?) zupełnie się nie nadają — jak z tego wynika — do subtelnych manipulacji.. duchowych — ergo, nie mogą być naszymi powiernikami.

Siłą rzeczy — pozostają tylko kobiety.

Nie, ale tego przytomna osoba — ani na chwilę nie pomyśli naserjo, gdyż znając łacińskie przysłowie, że „homo homini lupus est" łatwo dojdzie do przekonania, że — „femina feminae — vipera est" (żmija? to stanowczo za mało — o kilka zoologicznych szarż wyżej — conajmniej cobra!).

C'est très triste — to jest bardzo smutne... ale tak już jest — niestety.

Mężczyźni zdyskwalifikowani, kobiety — również; więc na powiernika niewieściego może tylko kandydować — „trzecia płeć" — ten miły anonimowy fryzjer, który wdzięcznie stroi główki kobiece na bale, recepcje, dancingi — układa jedwabiste sploty włosów różnych odcieni (podczas gdy w samych główkach nic się nie układa. a przeciwnie — galopuje w nieporównanym chaosie)...

Lekka dłoń pana Józefa, lub innego „włosianego maga" miękko dotyka głowy, skroni, policzków — odsłania różowe muszle maleńkich uszu; ciepły oddech, przepojony zapachem dobrego tytoniu — muska w przelocie kobiecą szyję — que sais je? Może wytwarza się ten nastrój lekko - zmysłowy, wystarczająca ciepły, aby opadła z kobiety maska światowa — a nie za gorący, którvby groził — poważniejszym „opadkiem"...

Słowem, wymarzony klimat psychiczno - fizyczny, w którym rozkwitają jak lotusowe kwiaty na Gangesie — wynurzenia...

I dlatego, kobiety tak często chodzą do fryzjera i dlatego tak lubią chodzić do fryzjera.

Taki pan Józef, gdyby był mniej dyskretny, albo był w stanie zapamiętać. lub tylko poprostu — zechciał — mógłby zniszczyć wszystkie kobiety! Gdyż tylko „pan Józef" wie całą prawdę o kobietach.

■

Pani Wa, dlaczego pani zjada taką masę cukierków? pyta mnie w przelocie, spotkana u fryzjera znajoma — piękna pani Zu.

Pytanie, to pozostaje bez odpowiedzi, jak zresztą — wszelkie inne wysiłki ku prowadzeniu ze mną konwersacji, gdyż do pełnych już ust — wpakowałam au risque — uduszenia się — jeszcze jeden, ciągnący lepki cukierek (Asekuracja — przed fizyczno-patologiczno-fizjologiczno-psychologiczno - erotyczno niebezpiecznym fluidem, emanującym z rąk pana Józefa).

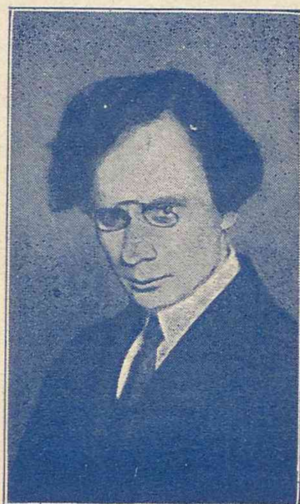
I poprostu dlatego, aby nie być „kobietą u fryzjera".

———

ŚWIAT MUZYKI

TRYUMFY POLSKIEGO ARTYSTY ZAGRANICĄ

Znakomity nasz pianista, Józef Turczyński, koncertował ostatnio w Berlinie, osiągając olbrzymi sukces zarówno wśród publiczności, jako też na łamach prasy, która z największym entuzjazmem wyraża się o naszym artyście.



Krytyka *jednogłośnie* podkreśla wysokie walory gry Józefa Turczyńskiego, zaliczając go do szeregu wielkich pianistów doby obecnej.

Po tryumfach w Berlinie udał się prof. Turczyński do Szwajcarji, gdzie również występy jego cieszyły się niezwykłem powodzeniem (Genewa, Lozanna i in.). W Lozannie spotkał Józefa Turczyńskiego wielki zaszczyt, gdyż na koncert jego przybył Mistrz Ignacy Paderewski, który po skończonym koncercie winszował naszemu artyście odniesionego sukcesu.



WANDA WERMIŃSKA

po przelotnym występie w operetce Opery Warszawskiej święciła tryumfy w operze Paderewskiego „Manru" na tejże scenie Opery Warsz.

CAŁUS I NIC WIĘCEJ

W teatrze Wielka Rewja — ulubienica publiczności warszawskiej Tola Mankiewiczówna — śpiewa, tańczy i zbiera oklaski. Sempoliński świetnie dzieli z nią sukcesy.





RECITAL HENRYKA SZATKOWSKIEGO

13 b.m. odbędzie się w sali Konserwatorjum recital melorecytacyjny Henryka Szatkowskiego, o bogatym i urozmaiconym programie. Będzie to ostatni występ publiczny artysty przed wyjazdem zagranicę.

Henryk Szatkowski, uczeń Melcera i Jadw. Toeplitz-Mrozowskiej, ma za sobą 22 lata estrady, początkowo — jako pianista, od r. 1915 — jako melorecytator i kompozytor ilustracyj muzycznych do odtwarzanych utworów. Ulubionymi jego poetami są Norwid, Wyspiański, Kasprowicz, Or-Ot, z nowszych — Lechoń, Reszczyńska. Zasięg jego zainteresowań artystycznych jest bardzo wielki, a rodzaj kompozycyj, wykonywanych najchętniej na klawesynie — nawskroś oryginalny, stylowy i zazwyczaj owiany pełną wdzięku melancholją. Współtwórczość jego niezwykle przyozdabia i uzupełnia utwory znakomitych poetów.

WANDA WASILEWSKA.

Stracona miłość

Z kuchni, przez niedomykające się drzwi dochodził nieznośny odór kapusty. Słychać było, jak pani Grzelakowa trzaska gniewnie garnkami po blasze.

— Pudziesz!

Wielki, czarny kot Bobak był powodem większości kuchennych hałasów. Plątał się wiecznie koło pieca, wpadając nieustannie pod nogi pani Grzelakowej, która z racji codziennych kłótni z sąsiadkami była stale podenerwowana.

Sylwek westchnął. Zadanie matematyczne plątało mu się dziwnie, zaczynał je już piąty raz. Odłożył zeszyt.

Swędy kuchenne pasowały doskonale do tego pokoju. Szare, odrapane ściany. Dwa żelazne łóżka, powyginane w cudaczne floresy. Czerwona, wypełzła kołdra i spłowiały koc. Zwyczajna „stancja" w małem miasteczku, które się szczyci posiadaniem gimnazjum. Całe pokolenia przechodziły przez ten ciasny, brudny pokoik u odwiecznej pani Grzelakowej.

Były i inne stancje — ale niedostępne dla Sylwka. I tę trzeba było opłacać z własnych zarobków, z nędznych lekcyjek, wyproszonych u gospodarza klasy, płatnych, jak się zdarzyło. Chłopak oparł głowę na rękach. W gruncie rzeczy całe życie było, jak ten zimny, opuszczony, nędzny pokój. Całe życie — od śmierci matki. Ojciec — surowy, ostry, posępny człowiek, zaharowany na małej stacyjce, gdzie trzeba było spełniać obowiązki zawiadowcy, kasjera, biletera, nie wnosił radości ani ciepła w sieroce życie chłopca. I wiedziało się — cokolwiek będzie, cokolwiek powiedzą nauczyciele, jakkolwiek będzie się uczył, czeka go jedno — kiedy się skończy sześć klas, trzeba będzie wrócić na małą stacyjkę, tkwić w ciasnem biurze zawiadowcy, być zamkniętym, uwięzionym ciemną linją wzgórz, otaczających stację, już na zawsze, na wieki wieczne. Bezcelowe są najlepsze w klasie świadectwa, bezcelowe wszystko.

Zabrał się znów do zadania. Ale myśli rozpierzchły się dalej. Natrętnie wdzierał się w uszy nieustanny, blaszany stuk garnków i chlupot wody w szafliku. Od lat, odkąd zaczął chodzić do szkoły, odkąd go ojciec przywiózł na stancję pani Grzelakowej, było to samo — na początku roku mówiło się dużo i ważnie o uszczelnieniu drzwi kuchennych. Ale szybko szło to w zapomnienie. I trzeba było stale oddychać zapachem kapusty i słuchać gniewnego mruczenia gospodyni. Za oknem mógł huczeć wiatr i śnieżyca, albo mogło się złocić zwycięskie słońce, jak tego dnia — ale zapach kapusty nie zmieniał się. Trwał uparcie przez cały boży rok.

Tak się właśnie przedstawiało Sylwkowi życie — zapach kapusty, nerwowe obliczanie, czy da się kupić zeszyt, czy wystarczy na książkę, chmurnie zmarszczone krzaczaste brwi ojca, ukryta głęboko w kuferku jedyna, zniszczona i wyblakła fotografja matki — perspektywa spędzenia reszty życia na zabitej deskami stacyjce.

Nagle Sylwek podniósł głowę z nad zeszytu. Tak. Słychać. Drobny, lekki tupot wysokich obcasów po kamieniach jedynej brukowanej uliczki. Tam, po drugiej stronie idzie Aga. Granatowa spódniczka, biała, marynarska bluzka, z pod granatowego beretu wymykają się jasne pukle włosów. Błękitne oczy patrzą przed siebie dziecinnem, zdziwionem spojrzeniem. Taka właśnie jest Aga. Granatowo-złoto-błękitna, wysmukła i pierzchliwa jak ptak.

Zerwał się prędko od stołu. Jeszcze zdąży zobaczyć, nim zniknie na zakręcie, na dróżce, prowadzącej przez zapuszczony ogród ku dworkowi.

Ale w tym samym momencie na schodach rozległ się łomot butów i do pokoju wpadł zgrzany, w rozpiętej bluzie na brudnej koszuli współlokator i kolega, Fredek.

— Chodźno Sylwek, chodź!

— Co? — burknął niechętnie, wiedząc, o co chodzi.

— Chodź, chodź do okna!

— Nie mam czasu.

— Oho! A tam przecież idzie Aga, Aga, Aga-ta! podśpiewywał Fredek.

Trudno. Sylwek sam wie, że Agata, to paskudne imię. Ale Aga jest przecież ładnie. I Fredek tak tylko na złość, bo przecież i on zawsze mówi o niej: Aga, tak, jak wszyscy.

— Prędzej, prędzej, bo już nie zobaczysz! — nawołuje Fredek, wychylony przez okno.

Twarz Sylwka purpurowieje z gniewu. Ale nie odzywa się wcale. Widocznie tak już musi być. Głupie docinki koleżków i nie wiedzące o niczem, błękitne, dalekie oczy dziewczyny.

— Zniknęła, przeszła, niemaaa — podśpiewuje Fredek, jakby sam do siebie, ale kącikiem oka śledzi Sylwka.

— Daj mi spokój!

— Czemuż to, serdeńko? Czemu właściwie mam ci dać spokój? Chcę ci wyrządzić koleżeńską przysługę, dać możność ujrzenia ukochanej, a ty siedzisz jak kołek! Czyżbyś uczucia swe skierował w inną stronę? — pyta

Fredek pompatycznie, pociągając pryszczatym nosem.

— Lepiej byś się wziął do lekcyj — mruczy gniewnie Sylwek.

— Och, nie interesuj się mojemi postępami w nauce, błagam cię. Nigdy przecież nie dorosnę do twojej doskonałości — drwi Fredek, poprawiając przed upstrzonem czarnemi punkcikami lustrem brudny kołnierzyk.

Sylwek ma już tego wszystkiego dość. Z hukiem zatrzaskując drzwi wybiega z pokoju. Najchętniej dałby teraz nura w zdziczały, opuszczony ogród, graniczący z dworkiem. Ale w oknie połyskuje w słońcu pryszczaty nos Fredka. Już jutro przywitałyby go w klasie docinki, uśmieszki, głupkowate piosenki. Toteż podnosząc wysoko głowę odchodzi w przeciwnym kierunku. Brukowana uliczka rychło zmienia się w zakurzony gościniec. Murowane domki, początkowo piętrowe, kurczą się tu coraz bardziej, żeby w pobliżu rzeki przejść w drewniane pseudo-wille, a wkońcu w zwyczajne chałupy. Kury, leniwie gdacząc, rozgrzebują śmietniki. Na rogu u Stanków rwie się na łańcuchu czarny, kudłaty pies.

Sylwek, oglądając się przezornie za siebie, skręca wąską ścieżką nad rzekę. Woda bełkoce cicho, marszcząc się złotą, drobniutką falą. Teraz można na przełaj, przez pole. Łukiem obejść miasteczko i wyjść znowu na wielki, zapuszczony ogród, sąsiadujący z dworkiem.

Wielkie liście łopuchów biją po nogach. Ma się wciąż niemiłe wrażenie, że w zielonym mroku kłapciastych liści kryje się coś żywego, na co można nadepnąć. Wątłe łodygi wierzbówki wystrzelają ponad morze łopuchów kolumienkami kwiatów. Na opuszczonych nisko ku ziemi konarach zdziczałych jabłoni drobne, zielone owoce. Z wysokiej trawy sterczą jak poczerniałe piszczele resztki starego pogorzeliska. Obsiadły je już chwasty, okwitło żółtemi kwiatuszkami jaskółcze ziele i dmuchawce. Sylwek potyka się o ukryte w zieleni rumowiska. Ale już o parę kroków dalej płot. Za wysokiemi sztachetami polatują biało - liljowe skrzydełka maków. Karbowane głowy włoskiej kapusty przysiadły nisko przy ziemi. Dalej kwiatowe grzędy, przed gankiem przywiązane starannie do palików krzaki róż.

Sylwek siada na pochyłym pniu. Nie widać go tu z ulicy, wysoko, ponad głową wystrzelają łodygi chwastów i gąszcz nie ruszanych od dawien dawna dłonią człowieka traw. Nie widać go także z dworku, chociaż on widzi wszystko. Z kuchni wychodzi gruba Małgorzata na drugą stronę, ku kurnikom. Rządca kłóci się z kimś na podwórzu. Aż tu zalatuje jego gruby, gniewny głos. Agi nie widać. Sylwek wydobywa z kieszeni wystrzępioną książeczkę i usadawiając się wygodniej na pniu, zaczyna czytać. Ale niebardzo to idzie. Co chwila oczy wybiegają poza sztachety, w poszukiwaniu granatowej spódniczki i jasnych pukli włosów.

„On cię nie kocha. Porzuci cię i wtedy będziesz moją — zaśmiał się drwiąco".

Na piętrze otwiera się z trzaskiem okno. Sylwek pospiesznie podnosi głowę. Ale nie widać nikogo. Biała firanka wydyma się na wietrze. Za chwilę uderzenie w klawisze fortepianu. Wysoki, czysty dźwięk. Nagły dreszcz przebiega ciało chłopca. To Aga. Niema w dworku nikogo poza nią, ktoby grał na fortepianie. Jeszcze jeden dźwięk. A potem rozwija się melodja. Jak kropelki wody, szklane i drżące uderzenia klawiszy. Sylwek przymyka oczy, jak przed rażącem światłem. Tęsknie płynie melodja. Znika gdzieś przykry zapach łopuchów. Przez zielony gąszcz sypią się złote, słoneczne cętki, migotliwe i zmienne.

— Agata!

Piskliwy, ostry głos ciotki. Sylwek się wzdryga. I natychmiast z okna na piętrze dźwięczy wysoki, czysty głos:

— Idę!

Chłopak przyciska twarz do sztachet. Otwierają się drzwi na ganek. Błyska granatowa spódniczka i rozwiany pukiel jasnych włosów. Zgrzyt kroków na wysypanej żwirem ścieżce. Prędko biegnie przez ogród, poza budynki. Sylwek czeka. Ale głosy milkną i nikt nie wraca. Biała firanka w oknie na piętrze powiewa muślinem falbany. Z westchnieniem chłopak wraca do książki.

„Markus Henner wstał. Ułomność jego zdawała się wzrastać, wydawał się bardziej garbatym i pokręconym niż przed chwilą. Wyraz strasznej, bezsilnej nienawiści skurczył jego wstrętną twarz".

Od ulicy dobiegł nagle odgłos kroków. Sylwek pochylił się niżej, choć przecież nikt nie mógł go tu dostrzec.

— Powiadam ci, nadzwyczajna — dobiegł piskliwy głos Fredka.

— To jeszcze nic. Mówię ja do niej...

Sylwek poznał głos Palucha, najstarszego w klasie dryblasa.

— No i co?

Słowo, którego nie można dosłyszeć i nagły wybuch śmiechu.

— Bujasz!

— Jak Boga kocham! Zresztą, jeśli chcesz...

Głosy milkną w oddali. Po ogrodzie za sztachetami łazi kura, gdacząc z powagą. Sylwek mnie w dłoni włochaty liść łopianu. Zawsze tak jest. Paluch, Fredek, wszyscy oni z tajemniczemi, głupiemi sprawami, z wieczornemi wycieczkami niewiadomo gdzie, z porozumiewawczemi uśmieszkami, z docinkami na temat Agi. I Aga... daleka, obca, najpiękniejsza. Rozkwitająca nad plugawą szarością miasteczka,

jak tajemniczy kwiat. Przechodzi nie wiedząc, obojętnie patrzy błękitnemi oczyma. Najlepsza, najsłodsza Aga.

Może, gdyby pójść, gdyby powiedzieć... marzy Sylwek. Ale właściwie co? Że jest Aga, Aga, Aga, najpiękniejsza na ziemi, błękitna, złocista, pierzchliwa jak ptak... Aga? Nie odważyłby się przecież popatrzeć w jej spokojne, chłodne oczy. Ani zaczepić, jak Paluch zaczepia wszystkie dziewczęta. Ani podrzucić listu tak, jak to robi Fredek. Jest niedosiężna, daleka, nieuchwytna. Mijając ją na ulicy, wstydzi się Sylwek swojego sztubackiego mundurka, wyłażących z przykrótkich rękawów czerwonych dłoni ,nie dającej się nigdy uczesać czupryny, wszystkiego.

I jakże tu powiedzieć, wytłomaczyć? O tem, że matka umarła. I jaki pusty, zimny, obcy jest świat. Jaki jest zły i bezlitosny. I tylko ona jedna, ona jedna...

Słońce maluje na szerokich liściach łopuchu drżące koła. Żeby tak móc oddać to, równie ulotne, ruchliwe, migocące — Sylwkowi marzy się obraz. Na środku, w trzepocących się, motylich płatkach maków Aga. Przechyla głowę na bok, jasne włosy wokół wąskiej twarzy, jak aureola. Nasłuchuje. Niewiadomo czego, ale wyraźnie widać, że słucha. Wokoło tańczą na liściach słoneczne kółka. Pachnie rozgrzaną zielenią ogród.

Albo jeszcze inaczej. Płynie błękitna woda. Nad wodą siedzi Aga. Przez długie, blade palce przesiewa się woda miljardem iskier. Lekko uchylone usta, maleńkie, różowe usta Agi. A nad wodą śmiga czarna, polotna jaskółka. Niziutko, tak, że końce długich skrzydeł muskają fale.

Albo droga. Błotnista, pusta, beznadziejna droga miasteczka. Maleńki piesek skulił się, drżąc z zimna i opuszczenia. Nad pieskiem schyla się Aga. Złoty blask, błękitny obłoczek nad smętkiem pełnej kałuż drogi. Delikatnie, miękko kładą się paluszki dziewczyny na zabłoconej sierści drżącego pieska.

Tak, tak, jeszcze o tem móc powiedzieć Adze... — że się kiedyś będzie malarzem. I będzie się malować tylko ją, Agę, Agę, Agę...

— Mówiłem ci, psiakrew, że podkowa odlatuje? Mówiłem, czy nie? Popatrz że się teraz!

Ścieżką od stajen idzie rządca. Obok, mnąc czapkę w ręku, parobczak Józek. Za nimi Aga.

— Mówiłem, czy nie? Konia, psiakrew jedna, zniszczyć chcesz, czy co? — grzmi tubalny głos rządcy.

Józek staje, kurczy się jeszcze bardziej. Kudłata głowa usiłuje wcisnąć się w ramiona. Rządca też zatrzymuje się nagle, czarny, ogromny w rozchybotanej zieleni ogrodu. Wielka, czerwona łapa spada nagle na twarz Józka. Raz i drugi.

Sylwek nerwowo podrywa się na swoim pniu. Szeroka, ciężka dłoń uderza jeszcze raz. Wąziutkie pasemko krwi płynie z rozbitej wargi. Ale rządca znowu podnosi rękę. Józek niezdarnie osłania głowę przed ciosem uwalanemi ziemią palcami. Jękliwy pisk, jak przyduszonego psiaka:

— Panienko!

Ścierpły do dna duszy Sylwek patrzy na dziewczynę. Nie na Józka, maleńkiego i skurczonego. Nie na rządcę, ciemną bryłą zagradzającego drogę. Tylko właśnie na Agę. Aga, nie mogąc przejść, stoi na ścieżce. Błękitne oczy patrzą obojętnie na złotą grzędę nagietek. Na maleńkich, różowych ustach igra niepewny uśmieszek, wątły i drżący.

Nie odwraca się na okrzyk parobczaka. Ostrożnie stawiając lakierowane pantofelki w miękką ziemię grzędy, przechodzi mimo. Ogarniając ręką granatową spódniczkę, by się nie otrzeć o Józka, dostaje się z powrotem na ścieżkę.

Sylwek siedzi w swojej kryjówce, jak sparaliżowany.

— Koń, widocznie to jej siwka — majaczy mu błędnie w oszołomionej głowie.

Tkwi na swoim pniaku długi czas. Czerwony zachód słońca kładzie się pożarem na spróchniałą, popękaną korę jabłoni. Szybko gaśnie.

Dotkliwy chłód doprowadza Sylwka do przytomności. Prosto nad głową, w gałęziach drzew wiszą gwiazdy. Na ciemnem niebie. Gdzieś ćwierknął nagle spłoszony ptak. Potyka się na gałęziach i spada w bok, w wielką, rosistą, czarną trawę. Od środka, od najtajniejszej głębi serca przychodzi łkanie. Zwija, łamie, szarpie całem ciałem. W bujną rosę, w ciemność trawy, pod złotemi gwiazdami na nieruchomych gałęziach czarnych drzew padają wielkie łzy, palące, gorzkie, płynące niepowstrzymanym strumieniem, szesnastoletnie łzy straconej miłości.

KRONIKA LITERACKA

Król Jerzy V jako sportsmen

Książka ta częściowo napisana, częściowo redagowana przez znanego autora sportowego J. Wentworth Day'a obejmuje całokształt działalności zmarłego króla na terenie sportowym.

Wszyscy słyszeli o tem, że król Jerzy był jednym z pierwszych myśliwych angielskich, ale mało kto wie, ile pracy wkładał w osobisty nadzór gospodarki leśnej i zwierzostanu. Książka przedstawia króla nie w momentach oficjalnych, ale w jego życiu prywatnem na wsi, jako angielskiego ziemianina, a przedewszystkiem zamiłowanego myśliwego.

W ulubionej jego rezydencji, w Sandringham, poza wspaniałem polowaniem na bażanty i kuropatwy — dzięki umiejętnej ochronie umożliwione zostały i inne rodzaje polowania. Królików, słonek, dzikich kaczek i wszelkiego ptactwa jest tam poddostatkiem. To też król mógł dowoli polować samotnie, w towarzystwie tylko swego psa, czemu z ochotą się oddawał.

Dawniej król Jerzy wiele i z zapałem zajmował się żeglarstwem. Jednak od czasu choroby stało się to dlań niedostępne. Z innych sportów najbardziej lubił wyścigi konne, które traktował prawdziwie po sportowemu.

Inna książka, lżejsza w sposobie traktowania tematu i zamierzeniach autora, to *„The King's Reign"* („Panowanie Króla") — John'a Drinkwater'a. Książka ta jest raczej zwięzłym, popularnym przeglądem panowania, nie zagłębiającym się w problemy polityczne, ani w wydarzenia międzynarodowe. Podtytuł brzmi „Krótki komentarz w prozie i obrazach", a rzeczywiście praca ta wzięła początek w filmie, stworzonym z okazji 68-ych urodzin króla Jerzego.

Książka Drinkwater'a daje bardzo plastyczny szkic panowania króla Jerzego, poświęcając także parę rozdziałów rozwojowi nauki i sztuki w tym okresie. Ale najciekawsze jest przedstawienie osoby króla i tych wszystkich drobnych szczegółów, które uczyniły ją tak drogą wszystkim poddanym największego imperjum świata.

Wciąż o Abisynji

Wśród powodzi książek o Abisynji, jaką przynosi każdy miesiąc w Londynie, warto wspomnieć o *„Abisyńskiej Przygodzie"* (*Abyssinian Adventure* - Hutchinson) — Geoffrey Harmsworth'a.

Autor wysłany został do Abisynji przez *Daily Mail*, pismo o tendencji wyraźnie italofilskiej. Harmsworth jest młodzieńcem inteligentnym i bardzo uczciwym. Zaraz na wstępie przyznaje się, że jeszcze niespełna rok temu nic nie wiedział o Erytrei. (Taka szczerość jest prawdziwie rozbrajająca...). A jednak książka jest bardzo ciekawa, bo autor, pozbawiony wszelkich *partipris*, zwiedził dokładnie nietylko Etjopję, ale i przylegające do niej kolonje włoskie, starał się zgłębić najbezpośredniejsze i najlepsze źródła informacji i w rezultacie — wrócił do kraju z nastawieniem zdecydowanie pro-abisyńskiem.

Musiało to być niespodzianką dla pisma, przez które został wysłany.

L. Buyno.













REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755
Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87.
Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

ŚWIAT FILMU

„Jego wielka miłość"

Apollo

Z prawdziwą radością możemy zasygnalizować nowy polski film, jeden z lepszych obrazów obecnego sezonu kinowego. „Jego wielka miłość" wytwórni „Blok" przeszła najśmielsze nasze przewidywania.

„On" — to Jaracz, a obraz — to jego wielki film. Scenarjusz może niezupełnie oryginalny, często zbyt teatralny, bardzo przypominający w założeniu i konstrukcji słynnego „Henryka IV", opracowany przez A. i A. Sternów, wyreżyserowany został przez Perzanowską bez zarzutu. Wzorów i porównań można szukać wśród najlepszych filmów zagranicznych.

Całość opiera się na niezłomnym fundamencie, na genjalnej kreacji Jaracza. Wielki aktor stworzył wielką rolę. Pozostali wykonawcy, grający bez wyjątku dobrze, zepchnięci są przez znakomitego artystę na drugi, a nawet dalszy plan. Cień wielkiego aktora przesłonił współodtwórców, nie pozwolił im zabłysnąć niewątpliwie dużym — w wielu wypadkach — talentem.

Umiejętnie, stosownie do wymagań ekranu, stonowana mimika, znakomite odczucie roli i ogromna szczerość i bezpośredniość ekspresji działają z rzadko spotykaną sugestywnością. Dramatyczna interpretacja tragicznej roli biednego suflera, wyniesionego nagle w światło teatralnych kinkietów, olśniewa. Tytułowa rola w „Napoleonie", uwielbianym i czczonym bohaterze, zmienia zahukanego, skromnego suflera w tytana sceny.

Mistrzowskie odtworzenie przez Jaracza dramatu, w którym uczestniczy sufler Kurczek, w życiu i na scenie, każe nam postawić go na poziomie najbardziej znanego tragika ekranu, Charles Laughtona. Może nawet wyżej!

Pozostali wykonawcy dali z siebie wszystko. Żelichowska jako aktoreczka, dążąca wszelkiemi sposobami do pierwszoplanowych ról, okazuje duży nerw filmowy i temperament. Piosenka Warsa z dobremi słowami Szlechtera znajduje w niej dobrą odtwórczynię.

Bardzo miło zaprezentowała się młodziutka gwiazdka polskiego ekranu, Lala Górska, grając bezpretensjonalnie i inteligentnie.

J.



Chaplin ze swą ostatnią żoną, Paulette Godard, podczas premjery filmu „Dzisiejsze czasy" w Londynie.

Odrodzona Marlena Dietrich

Marlena Dietrich ukończyła już swój film „Pożądanie" i przystąpiła do nakręcania nowego obrazu p.t. „Zaproszenie do szczęścia". Jak donosi prasa amerykańska, Marlena „odżyła" pod opiekuńczemi skrzydłami świetnego reżysera i kierownika produkcji Paramountu — Ernesta Lubitscha, który widząc, że Marlena ukazuje się w nieodpowiednich dla siebie rolach, sam wybrał dla niej scenarjusz. Marlena ukaże się w nowoczesnej roli, podobnej do tych, które zjednały jej popularność. Gra awanturnicę, która w podstępny sposób zdobyła kosztowny naszyjnik z pereł i ucieka z nim zagranicę. W czasie podróży spotyka młodego, przystojnego Amerykanina, który robi na niej duże wrażenie. Pod wpływem miłości młodego człowieka budzi się w niej miłość, dla której gotowa jest uczynić wszystko.

Partnerem Marleny Dietrich jest Gary Cooper, jeden z najwybitniejszych artystów, który odniósł prawdziwy triumf w swych ostatnich filmach: „Bengali" i „Peter Ibbetson". „Pożądanie" reżyserował Frank Borzage, twórca „Pożegnania z bronią" pod kierunkiem Ernesta Lubitscha.

Nowa kreacja Sir Guy Standinga

Świetny aktor charakterystyczny, Sir Guy Standing, niezapomniany bohater „Annapolis", ukaże się wkrótce w sensacyjnym dramacie p.t. „Samochód Nr. 99". W filmie tym Sir Guy Standing, grający rolę zbrodniczego profesora — Anthony'ego, stwarza doskonałą kreację aktorską. Prócz Sir Guy Standinga udział biorą: Fred Mac Murray, jeden z najwybitniejszych aktorów młodego pokolenia, znany z filmu Claudette Colbert p.t. „Kobieta szuka miłości", oraz Ann. Sheridan i młodziutka aktorka rosyjska, Marina Schubert.

Treścią „Samochodu Nr. 99" jest walka policji amerykańskiej z niebezpieczną bandą przestępców, na czele której stoi profesor Anthony. Film odsłania najnowsze metody policji amerykańskiej, która wydaje rozkazy przez radjo policyjne poszczególnym policjantom na posterunkach, pomagając im w ten sposób blokować drogi i chwytać zbrodniarzy w pułapkę. Ciekawy ten film ujrzymy wkrótce.

REDAKTOR *L. CHRZANOWSKI.* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. „Polska Zjednoczona", Warszawa